Nr. 38 (1134). Warszawa, dnia 7 (20) Września 1902 r. **Rok XXII.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rb. **2**, rocznie rb. **8**, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. **2** kop. **50**, rocznie rb. **10**.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

Szan. Abonentom kwartalnym przypominamy nadchodzący termin przedpłaty.

POLITYKA.

WIEC GDAŃSKI.

Dnia 13 b. m. zebrali się w Gdańsku hakatyści z całych Niemiec, członkowie „Ostmarkvereinu,“ założonego zaraz po mowie toruńskiej 1894 r., na doroczne zgromadzenie dla odbycia swego sabbatu czarownic. Całe to niechrześciańskie, nieludzkie, barbarzyńskie sprzysiężenie się na społeczeństwo i narodowość polską ma swego głównego sprawcę w hakacie. Gdyby nie ona, nie byłoby tej ohydnej strażnicy kresów wschodnich, ustawianej w Poznańskiem i Prusiech przez naród Schillerów, Lenauów, Gregoroviusów, Mosenów i Spazierów; gdyby nie ona, nie byłoby tego spisku, tych denuncyacyj ustawicznych, tych procesów, których wstydzić się musi zarówno rozum stanu, jak czysta sprawiedliwość — nie byłoby tej ustawicznie szczekającej i wyjącej nagonki, nie byłoby wieców, przypominających narady w rozbójniczych jaskiniach, ani uchwał, uwłaczających swobodzie myśli ludzkiej i prawom niezbywalnym człowieczeństwa.

Najzupełniejszą słuszność miał Kennemann, gdy zagajając dnia 13-go b. m. posiedzenie, przyznał stowarzyszeniu, stojącemu na straży kresów wschodnich, ten wielki zaszczyt, jakim powinno być dla dobrych serc pruskich poparcie samego króla. Nie było w tem ani cienia przechwałki: jest najzupełniejsza prawda. Nie było też fałszu i w tem, że poparcia swego król dowiódł mową wypowiedzianą podczas pobytu w Poznaniu. Gdyby głupiec jaki chciał jeszcze wątpić, cesarz sam przekonałby go przyozdobieniem piersi Tiedemanna koroną II klasy, a Wintera z Wrześni orłem czerwonym kl. IV. Polityka nie jest dla naiwnych; kto jeszcze dziś upiera się przy jakimś odmiennym charakterze mowy, ten niech rzuci politykę, nawet kałamarzową, i idzie dzieciom robić babki z piasku. Poparcie Wilhelma II, dawane hakatystom, jest faktem, a pod względem moralnej i etycznie-państwowej wartości jest faktem zapadającym głęboko pod poziom obowiązku i choćby tylko cywilizacyjnej przyzwoitości.

W X w. margraf Gero spraszał starszyznę słowiańską na narady i biesiady i zaproszonych mordował; w wiekach następnych zgraje saksońskie napadały na ciche zaścianki i ustronia Słowian połabskich i nadodrzańskich — ludzi zabijały, a siedziby ich puszczały z dymem; od XIII wieku Krzyżacy nawracali Prusaków na chwałę boską — toporem, na początku jeszcze XV w. pastwili się nad Żmujdzią, a przez cały czas swego panowania aż do pokoju Toruńskiego bronią najhaniebniejszych kłamstw, podstępów, zdrad i gwałtów, pomagali sobie w walce orężnej z Polską. Dziś Prusak posiada do walki, prowadzonej pod hasłem „nach Osten,“ całą machinę państwową, władzę; posiada sejm wspólną zwierzęcą żądzą opętany, posiada roje urzędników i pachołków siły i całe tłumy obywateli — ma za sobą społeczeństwo i naród. Co dawniej robił toporem, to dziś może robić piórem, wiecem. Narzędzie się udelikatniło, ale ciosy nabrały większej głębokości, przestrzenności i siły. Uchwały też wiecu gdańskiego są propozycyami uczynionemi prawodawcy; jęczy w nich dusza pruska niedość jeszcze od prześladowań dotychczasowych syta i do zagłady zupełnej imienia polskiego tęskniąca.

Na pierwszem miejscu tego *cahier des doléances* stoi zakaz zupełny nauki czytania i pisania po polsku tam, gdzie jeszcze wolno z niej korzystać, jako z przedmiotu nieobowiązującego. Dalej, religia w szkołach ma być wykładana tylko po niemiecku. Z gimnazyów wyrzucić potrzeba resztę polszczyzny. Stypendyści regencyi i nadprezydyów nie będą pociągani do obowiązkowego wyuczania się polszczyzny. Na zebraniach publicznych — zagwarantowanych przez konstytucyę — Polakom nie wolno mówić po polsku. Ponieważ prasa polska szerzy same tylko kłamstwa o Niemcach, a Niemcy nie chcą i nie mogą rozumieć po polsku, zatem dzienniki polskie mogą wychodzić tylko w dwu językach, z przekładami wiarogodnymi na niemiecki—druga swoboda konstytucyjna. W ruchu wewnętrznym poczta powinna bez żadnych względów adresy polskie uważać za nieistniejące. Wreszcie uchwalono i mocyę przeciwko uniwersytetowi lub jakiejkolwiek szkole wyższej w Poznaniu. Mocya ta zbiega się z postanowieniem cesarza Wilhelma: sam monarcha, nie czekając na wiec, w samym Poznaniu oświadczył, że nie myśli miasta, które bytnością swą zaszczycił, obdarzać uniwersytetem. Na wiecu odzywały się jeszcze głosy za wzbronieniem Polakom nabywania własności ziemskiej.

Wszystko jest możliwe w dzisiejszem państwie pruskiem, ale to wszystko nie

ochroni „kresów wschodnich,“ nie od urojonych, jak dziś, ale od rzeczywistych niebezpieczeństw, które zwalą się na Niemcy pod wielką konstelacyą dziejową. Całe okrucieństwo dzisiejsze wykaże wtedy swą marność.

Rozwój idei imperyalistycznej w Anglii.

II.

Rojenia romantyczne fantasty, przekazane Anglii przez lorda Beaconsfielda, Chamberlain przyoblekł w szatę prozaiczną „fuzyi handlowej“ posiadłości angielskich. Podobnie jak w dramatach Shakespeare'a po bohaterach występują na scenę błazny, tak miejsce marzyciela-polityka zajął pospolity komiwojażer, dla którego kwestya nowej klienteli i rynków była szczytem i ostatecznym sensem dążeń ludzkich. Chodziło teraz nie o trofea i wawrzyny wojenne, lecz o bilans handlowy i obstalunki. Anglia, tonąc w powodzi konkurencyi, chwyciła się, jako deski ratunku, imperyalizmu i hasła „Brytania dla Brytanii.“ Wprawdzie nauka zna inne sposoby zażegnania stagnacyi handlowej. Podniesienie siły kupczej warstw pracujących jest daleko gruntowniejszem lekarstwem na kryzys, niż pogoń za rynkami nowymi. W Anglii samej wyśmiewano niejednokrotnie efemeryczność polityki imperyalistycznej. Znany ekonomista Hobson w ostatnich tygodniach właśnie wytknął znów zwodniczość eliksiru Chamberlainowskiego. Chory organizm Anglii można, jego zdaniem, wzmocnić jedynie, szukając kupców wewnątrz kraju, a nie po za jego obrębem. Nowa klientela znajdzie się wówczas, gdy się podniesie zarobek wyzyskiwanemu biedakowi angielskiemu. Pogoń za rynkami już w niedalekiej przyszłości musi doprowadzić do zupełnego bankructwa gospodarki kapitalistycznej Anglii w ogólności, a innych krajów w szczególności. Pomimo to ideały imperyalistyczne ze względu na ich wulgarną prostotę znajdują w Anglii coraz większe uznanie i budzą zapał coraz szczerszy.

Dwie trudności napotykał Chamberlain na swej drodze. Popierwsze ideały wolnego handlu zapuściły tak głęboko korzenie w życie angielskie, iż nie sposób było wyrwać je i obalić odrazu. Wszelką wzmiankę o cłach dla dobra Anglii lub kolonij można było przypłacić łatwo utratą popularności. Praktyka handlowo - polityczna opierała się na teoryi, która miała za sobą kilkudziesięcioletnią tradycyę. Powtóre, ustrój polityczny Wielkiej Brytanii, a przedewszystkiem nadęta zarozumiałość samych Anglików, nie pozwalała im zaproponować otwarcie koloniom przymierza handlowo-politycznego. One same, jak to niejednokrotnie dał do zrozumienia Chamberlain, powinny przyczołgać się do stóp Anglii i błagać ją o łaskę i honor należenia do kupieckiej rodziny brytańskiej. Wojna transwalska zniosła odrazu obie trudności. Wobec niebezpieczeństwa Anglia, nie bacząc na świetną tradycyę i nie oddając się zbyt długim medytacyom, zaprowadziła na towary obce cła, które przed pięciu laty byłyby zrzuciły swych wnioskodawców z piedestału rządowego. Kolonie zaś, lubo podejrzewane oddawna o dążenia separatystyczne, widząc groźne położenie metropolii, stanęły wiernie przy jej boku. Oba fakty zaskoczyły świat niespodziewanie. Gdy nastąpiły pierwsze świetne zwycięztwa Boerów, zdawało się, iż należy pożegnać się raz na zawsze z nadzieją odnowienia walącej się budowy państwowej Anglii na podstawach imperyalistycznych. Nietylko rozwiewała się mrzonka „Zjednoczonej Afryki południowej,“ lecz, co gorsza, haniebne porażki Anglików powinny były osłabić jej powagę w oczach kolonij własnych. Tymczasem już w przededniu wojny transwalskiej Kanada uchwaliła obchodzić raz do roku — 23 maja — święto wszechpaństwowe, t. zw. *Empire Day*, wychowywać dzieci w szkołach w duchu patryotyczno-angielskim, a zwłaszcza pouczać je o ojcowskim stosunku wszechświatowego państwa brytańskiego do Kanady. W 1899 r. po raz pierwszy odbyła się ta uroczystość imperyalistyczna, podczas której sędziwy polityk kanadyjski, Karol Tupper, wygłosił gorącą mowę patryotyczną wobec 19 tysięcy dzieci szkolnych. Wkrótce jedna kolonia po drugiej zaofiarowała Anglii dobrowolne składki na powiększenie marynarki, Kanada zaś dodatkowo tysiąc majtków rocznie. Panie kanadyjskie utworzyły związek „The daughters of the Empire,“ szerzący ideę imperyalizmu wszechbrytańskiego. Kanada i Australia połączyły się bezpośrednią linią telegraficzną, aby módz komunikować się szybko w razie niebezpieczeństwa, grożącego Anglii. Wreszcie *Queensland* zaofiarował oddział wojska do walki z Boerami. Anglia z początku odrzuciła dumnie wszystkie propozycye, jakby chcą pokazać, że sama potrafi uporać się z garstką nieprzyjaciół, ale dotknięta boleśnie swem sromotnem niepowodzeniem, opamiętała się i, spostrzegłszy błąd, raczyła łaskawie przyjąć pomoc swych zamorskich dzieci. Przelana wspólna krew spoiła ściślej organizm imperyalistyczny i podobnie jak wojna zjednoczonych państw niemieckich przeciw Francyi w 1870 r. była powodem powstania Rzeszy niemieckiej, tak niefortunna walka z Boerami pod sztandarem angielskim zbliżyła do siebie wszystkich członków Wielkiej Brytanii. Z entuzyazmem odjeżdżali ochotnicy kolonialni, by spieszyć na odsiecz Anglii. „Ruszacie dziś w drogę — przemawiał lord Brascy do pierwszego kontyngensu kolonii Wiktoryi — nie w obawie o pokój lub bezpieczeństwo Australii, ani na rozkaz ministrów lub gubernatora. Pod naporem woli całego narodu zaproponowaliśmy pomoc naszej królowej. Gdy przybędziecie do Afryki południowej, zetkniecie się z oddziałem kanadyjskim. Fakt ten stworzy epokę i punkt zwrotny w dziejach brytańskich. Jest on wyrazem niezłomnej woli ludu w państwie, gdzie słońce nie zachodzi, ludu, który chce połączyć się w dniach klęski dokoła starego sztandaru. Jest to dumne i mądre postanowienie, które od dziś dnia zabezpieczy nas od wszelkiej obcej zaczepki.“ Nietrudno się domyśleć, jakie wrażenie sprawiło w samej Anglii patryotyczne pospolite ruszenie kolonij.

Jednocześnie bieg rzeczy zniweczył stopniowo w praktyce tradycyę wolnego handlu, najpoważniejszego zawalidrogi wśród powszechnego ciążenia ku imperyalistycznemu zjednoczeniu celnemu. Już w 1897 r. Kanada zaprowadziła pierwsze cła od towarów nieangielskich. W marcu 1900 r. postanowiono podwyższyć ulgę celną dla towarów angielskich z 25 na 33⅓%. Gdy minister Fielding zakomunikował tę uchwałę rządową parlamentowi kanadyjskiemu, opanował całe zgromadzenie niezwykły zachwyt: wszyscy, jak jeden mąż, powstali

Selma Lagerlöf.

INGMARSONOWIE.

Pewnego letniego poranku młody wieśniak zaorywał swój ugór. Słońko świeciło jasno, rosa perliła się na trawie, a powietrze było niewypowiedzianie świeże. Konie, upojone tą świeżością, ciągnęły pług, jak zabawkę, chód ich był zupełnie inny, niż zwykle, i parobczak musiał prawie biedz, żeby im dotrzymać kroku. Ziemia, odwalana pługiem, układała się w skiby, połyskując wilgotną tłustością, a oracz cieszył się myślą, że zasieje tu niebawem żyto.

— Poco ja się nieraz gryzę, narzekając, że życie jest ciężkie? — myślał sobie. — Czyż trzeba czegoś więcej nad blask słońca i piękną pogodę, aby człowiekowi było tak dobrze, jak u Boga za piecem?

Przed nim ciągnęła się długa, dość szeroka dolina, na której w szachownicę widniały żółte i zielono-żółte łany zbóż, koniczyn na pokosach, kwitnących kartoflisk i pokrytych niebieskiem kwieciem pól lnu, nad któremi unosiło się mnóstwo białych motyli. Jakby dla uzupełnienia widoku, w samym środku doliny stała obszerna, stara zagroda kmiecia, z wieloma szarymi budynkami i dużym, na czerwono pomalowanym domem mieszkalnym, u którego szczytu drzemały dwie odwieczne grusze, a przy ganku rosło parę brzózek. Na zielonym dziedzińcu leżały wielkie stosy drzewa opałowego, a za stodołą rozłożyły się potężne sterty słomy. Widok tej osady wśród równiny pól był tak miły, jak widok statku z masztami i żaglami na olbrzymiej powierzchni morza.

— Ot, jaką masz zagrodę — myślał dalej — tyle zasobnych budynków, śliczne bydełko, silne konie i służbę wierną, jak złoto. Jesteś co najmniej tak zamożny, jak najbogatszy w okręgu i nie masz powodu obawiać się biedy. Ale ja też nie lękam się ubóstwa i byłbym zadowolony, gdyby tylko był ze mnie taki chłop, jakimi byli ojciec i dziad. Jak to głupio, że mi te myśli przychodzą do głowy! — przed chwilą było mi tak wesoło! Ale pomyśleć tylko, że za czasów ojca wszyscy sąsiedzi oglądali się na niego i na to, co on robił. Kiedy zaczynał kośbę, zaczynali natychmiast i oni; w tym samym dniu, kiedy my braliśmy się do orki na Ingmarowszczyznie, na całej dolinie wyjeżdżały pługi w pole. A teraz ja orzę tu już parę godzin, a nikt nie zaczyna nawet toczyć lemiesza. Mnie się zdaje, że prowadzę gospodarstwo równie dobrze, jak każdy, co zwał się Ingmar Ingmarson. Za siano dostałem więcej, niż ojciec, rowy nie zarastają trawą, jak za jego czasów, a prawdę powiedziawszy — to i z lasem obchodzę się umiejętniej, niż ojciec. Ciężko bywa o tem czasem pomyśleć, i niezawsze biorę to tak lekko, jak dziś. Dopóki ojciec i dziadek żyli, mówiono, że Ingmarsonowie są tak dawno na świecie, iż wiedzą dokładnie, jaka jest w czem wola boża, i ludzie poprostu błagali ich, żeby rządzili całą wsią. Zasiadali z pastorem i zakrystyanem, postanawiali, kiedy trzeba oczyszczać potok, gdzie postawić szkołę, a mnie nikt nie pyta o radę, nie mam żadnego znaczenia. W każdym razie dziwna rzecz, jak troska maleje w taki poranek, mam prawie ochotę śmiać się z tego wszystkiego. A jednak obawiam się, że na jesień będzie mi gorzej, niż przedtem. Jeżeli zrobię tak, jak zamyślam, to z pewnością ani proboszcz, ani sędzia nie podadzą mi ręki przed kościołem w niedzielę, jak to zwykli byli czynić dotychczas. Nie wybiorą mnie nawet do zarządu domu ubogich, a o dozorze kościelnym nie warto nawet marzyć.

Nigdy myśli nie płyną z taką łatwością, jak kiedy człowiek chodzi za pługiem tam i napowrót; jest sam, nikt nie przeszkadza, chyba kawki, zbierające robaki na skibach. Oraczowi zdawało się, jak gdyby mu ktoś szeptał do ucha, a ponieważ rzadko mógł myśleć tak jasno i żwawo, jak dziś, więc

z miejsc, śpiewając angielski hymn narodowy. Jednocześnie w Afryce południowej już podczas wojny transwalskiej odzywały się głosy o konieczności zawiązania południowo-afrykańskiego związku celnego, mającego nadać ulgi wyrobom angielskim. W 1898 r., na zjeździe prezydentów ministeryów australskich w Melbourne, oświadczono, że taryfa celna federacyi stanów australskich powinna zawierać pokaźne ulgi dla towarów, pochodzących z metropolii. Dnia 30 kwietnia 1900 r. odbył się w Londynie bankiet Ligi imperyalistycznej (*British Empire League*), w którym wzięli udział przedstawiciele wszystkich kolonij. W licznych toastach i mowach wychwalano czyny bohaterskie i waleczność wojsk kolonialnych i potrącono o sprawę wszechpaństwowego związku celnego. Przy tej sposobności wyrażono się pogardliwie o polityce wolnego handlu i zaznaczono jej względność historyczną. To, co odpowiadało potrzebom dawniejszym, nie nadaje się do współczesności. W tym duchu szereg angielskich izb handlowych powziął już uchwały w r. 1900.

Była to zapowiedź nowych czynów. Koszty walki z Boerami przyprawiły Anglię o poważne kłopoty. Szkatuła państwowa opróżniała się gwałtownie, pomimo że trudno było przewidzieć koniec wojny. Wtedy minister skarbu widział się zmuszonym w 1901 r., po długich wahaniach, zaprojektować w Izbie gmin cło przywozowe od cukru i wywozowe od węgla. Parlament przyjął wniosek, a tem samem zainaugurował w dziejach Anglii rewolucyę polityczno-handlową. Cło wywozowe od węgla przeczy abecadłu teoryi wolnohandlowej, a w dodatku decyzya sama nie została poprzedzona przez dłuższe rozprawy w prasie, gdy cło od cukru uzyskało zasadnicze błogosławieństwo opinii publicznej, która nawet już gotowa była przystać na cło mączne i zbożowe. Dość, że pierwszy krok został zrobiony, a jednocześnie utorowano drogę dla związku celnego pomiędzy Anglią a jej koloniami.

Anglia posunęła się nawet jeszcze dalej, aby uwidocznić, jak dalece leżą jej na sercu interesy kolonij. Pisaliśmy w swoim czasie o wadliwej i bezmyślnej polityce premij cukrowych. Niemcy, Austrya i Węgry obsypywały cukrowników swych bajecznie wysokiemi premiami, aby umożliwić im tem tańszą sprzedaż cukru za granicą. Ta protekcya państwowa wyszła, co prawda, na dobre spożywcy angielskiemu, gdyż płacił on za cukier niemal o połowę taniej, niż obywatel lądu, ale za to zrujnowała przemysł cukrowy w Indyach zachodnich, pozbawiony podpórek premiowych. Zwijano jedną plantacyę za drugą, ludność traciła zajęcie, a wyspy nie były w stanie pokryć nawet kosztów administracyi; źle zwłaszcza wiodło się Jamajce. Z początku rząd angielski wspierał pieniężnie Indye zachodnie, a gdy imperyalizm wszedł w modę, zaczął piorunować energicznie przeciwko premiom cukrowym państw europejskich i wreszcie zagroził cłami. Anglia przybrała tak stanowczą i groźną postawę, że wywarła na państwa europejskie silny nacisk i na konferencyi brukselskiej, zwołanej w sprawie premij cukrowych, dopięła rzeczywiście ich ostatecznego zniesienia. Teraz dopiero koloniom spadła opaska z oczu: z despotycznej matki, która się nigdy nie troszczyła o swe dzieci, a nawet usamowolniła je tylko poto, aby tańszym kosztem wyzyskiwać, Anglia odrazu przeistoczyła się w czułą opiekunkę o wzruszającej dobroci. Dla dobra kolonij pozbywała się nawet swych starych ideałów i poglądów, które stały na przeszkodzie porozumienia się w sprawach świętego businessu.

Wreszcie d. 15 kwietnia 1902 r. nastąpiła najpamiętniejsza chwila w dotychczasowych dziejach imperyalizmu i polityki handlowej Anglii. Urągając swej tradycyi i pamięci stoczonych niegdyś bojów, wprowadza ona cło na zboże i mąkę. Wniosek rządowy uzyskał większość, złożoną z 254 głosów. Gdy po zaciętych walkach zniesiono w 1846 roku cła zbożowe, przez wzgląd na skarb pozostawiono tylko małą opłatę — 1 szyl. od kwarteru — a jednak to śmiesznie małe cło tak dalece dręczyło sumienie Anglii i tyle krwi napsuło rządowi, że minister Lowe widział się zmuszonym znieść je 1868 r. D. 15 kwietnia 1902 r. naigrawając się z Lowe'a i doktrynerów, przed którymi uchylił głowy, przywrócono cło zbożowe. Gdy zaś Anglia stopniowo przyzwyczai się do tak nagle zaszłej zmiany, podwyższy się opłatę, zwalniając od niej zboże kanadyjskie. Wtedy łańcuch imperyalistyczny, wiążący Anglię z koloniami, zostanie wzbogacony w nowe ogniwo. Oprócz tego projektowane jest cło od budulców, z których będzie ciągnęła zyski Kanada, oraz opłata od masła zagranicznego, która wzbogaci agraryuszów kanadyjskich i australskich. Przed kilku tygodniami odbyła się wreszcie z okazyi koronacyi króla Edwarda VII nowa konferencya imperyalistyczna, w której wzięli udział delegaci wszystkich kolonij. Do jakich wyników doprowadził zjazd, niewiadomo, ponieważ Anglia ukrywa pod korcem tajemnicy państwowej przebieg kongresu. Ale jakkolwiek państwa lądowe zapewniają, iż obrady wydobyły na jaw bezowocność prądów centralistycznych, nurtujących w łonie Anglii, to jednak widzieliśmy wyżej, jakie szalone postępy zrobiła idea imperyalistyczna na obszarze wielkobrytańskim w ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy, ku zdumieniu całego świata. Różnice ekonomiczne, zachodzące pomiędzy koloniami, są wprawdzie tak olbrzymie, że wielkobrytańska unia celna, o ile wogóle kiedykolwiek ujrzy światło dzienne, zrodzi się w bardzo ciężkich bólach porodowych Anglii, a jej akuszer Chamberlain będzie miał nielada zadanie do spełnienia. A jednak— wykreślono zdaje się, Anglię za wcześnie z listy potęg wszechświatowych.

H. Predm.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Są szambelanowie i szambelani. Pp. Taczanowski, jakiś dziwny urzędnik dworski w Poznaniu Hutten-Czapski, Morawski z rodziny Dzierżykraj-Morawskiego, gnali za powozami galowymi po Poznaniu, proszeni czy nieproszeni, zobowiązani czy nie — tak tylko, z czystego pruskiego serca; p. Żółtowski wolał ciszę domową, niż hałas uliczny i dworski. Nakazano mu za to odesłać klucz — godło szambelaństwa: uczynił to z przyjemnością większą pewno od tej, z jaką przed laty godność swą chwytał. Zawsze lepsze oparcie dać może dobre imię, niż klucz, którym niczego zgoła otworzyć niepodobna, ale za to progi zaufania publicznego na zawsze zamknąć sobie tak łatwo.

Cesarz Wilhelm odbył w przeszłym tygodniu manewry pod Frankfurtem n. O.; w bieżącym manewruje z flotą pod Cuxhaven. Cesarz Fr. Józef odbywa manewry w zachodnich Węgrzech. Jest na nich następca tronu niemieckie-

---

nabierał otuchy. Zaczął przypuszczać, że się niepotrzebnie martwi, że przecie nikt nie wymaga od niego, żeby brał sobie nieszczęście na kark. Żeby ojciec żył, zaraz by się go zapytał, jak ma postąpić w tym wypadku, tak jak zwykł był radzić się go w każdem trudniejszem położeniu. Niecierpliwiło go, że ojca niema w pobliżu, żeby się mógł przed nim wywnętrzyć.

— Żebym tylko znał drogę — mówił sobie, uśmiechając się radośnie na samą myśl o tem — poszedłbym zaraz do niego. Ciekawy jestem, coby powiedział stary Ingmar, gdybym tak pewnego pięknego dnia stanął przed nim? Sądzę, że musi siedzieć na wielkiem gospodarstwie, ma dużo pól i łąk, wielki dom i brunatne bydło, nie czarne ani pstrokate, tak właśnie, jak pragnął za życia. Wchodzę do świetlicy...

Oracz zatrzymał się na środku pola, spojrzał w górę i zaśmiał się. Myśli te sprawiały mu niewymowną przyjemność, porywały go, że nie zdawał sobie dobrze sprawy, gdzie się znajduje. Wyobrażał sobie, że był przy starym ojcu w niebie.

— Wchodzę do świetlicy — snuł dalej marzenia — aż tu w koło ścian siedzą chłopy z siwo-rudymi włosami, białemi brwiami, z grubemi wargami dolnemi, podobni, jak dwie krople wody, do ojca. Widząc tak liczne zebranie, staję zmieszany przy drzwiach. Ojciec zajmuje pierwsze miejsce za stołem, lecz, zobaczywszy mnie, powstaje i podchodzi do mnie. „Jak się masz, młody Ingmar Ingmarsonie?“ „Chciałbym pomówić z tobą, ojcze — powiadam — lecz tu jest tylu obcych.“ — „E, to wszystko swoi, oni wszyscy gospodarowali na Ingmarowszczyznie, a najstarszy z nich jeszcze za czasów pogaństwa.“ — „Tak, ja jednak chciałbym pomówić z ojcem w cztery oczy.“ Ojciec ogląda się i chce wyjść do komory, ale ponieważ to tylko ja, więc idzie do kuchni. Sadowi się na przypiecku, a ja na pieńku. „Ładne masz tu, ojcze, gospodarstwo“— rzekłem. — „A niezłe—powiada ojciec. — Cóż tam słychać w domu na Ingmarowszczyznie?“ — „Wszystko dobrze — mówię — w przeszłym roku dostaliśmy po dwanaście talarów za centnar siana.“ — „Czy być może? Zdaje mi się, że przyszedłeś stroić sobie żarty, młody Ingmarze.“ — „Ale mi źle — mówię dalej — ciągle słyszę, że ty, ojcze, byłeś mądry, jak sam Pan Bóg, a mnie nie chcą znać.“ — „Czy nie jesteś wybrany do rady gminnej?“—pyta starzec. — „Ani do rady szkolnej, ani kościelnej.“ — „Cóżeś ty przeskrobał, młody Ingmarze?“ — „Et, mówią, że kto chce radzić o innych, ten naprzód musi być w porządku u siebie.“ Starzec spuszcza wzrok, milczy i myśli. „Trza ci się ożenić, Ingmarze, i dostać dobrą żonę“— mówi po chwili. — „Właśnie nie mogę tego zrobić, ojcze — odpowiadam— najuboższy we wsi chłop nie dałby mi swojej córki.“ — „Opowiedz-że mi, jak się patrzy, młody Ingmarze, co to wszystko znaczy“— mówi ojciec, a głos jego staje się łagodnym. — „To tak, widzi ojciec, cztery lata temu, w tym samym roku, kiedy objąłem gospodarstwo, posłałem swaty do Brity z Bergskog...“ — „Poczekaj — mówi ojciec — czy mieszka kto z naszego rodu w Bergskog?“ Zdaje się trochę zapomniał, jak to tam jest na ziemi. „Nie, ale to dostatnia rodzina, a ojciec musi pamiętać, że ojciec Brity jest posłem do sejmu.“ — „Tak, tak, ale należało ci we własnym rodzie szukać żony, coby się znała na starych zwyczajach.“—„Prawda, ojcze, i ja tak sobie zmiarkowałem potem.“

— Siedzimy obydwa z ojcem i milczymy przez chwilę, aż ojciec odzywa się: „Dziewczyna pewnie ładna?“ — „Tak — mówię— ma ciemne włosy, jasne oczy i różowa na twarzy. A oprócz tego jest pracowitą i matka rada była, że ją biorę. Wszystko byłoby dobrze, bieda tylko, że mnie nie chciała.“— „Wielka mi rzecz, czego takie dziewczę chce albo nie chce.“ — „Rodzice zmusili ją, żeby dała słowo.“ — „Skąd ty wiesz, że ją zmuszono? Sądzę, że rada była dostać za męża takiego bogacza, jak ty, młody Ingmar Ingmarsonie.“ — „O nie, rada ona nie była, ale zapowiedzi wyszły, dzień ślubu oznaczono, a Brita przeniosła się do Ingmarowszczyzny jeszcze przed weselem, żeby pomagać matce. Matka starzeje się

go. Cesarz austryacki okazał się dość samodzielnym, aby nie wysyłać swego następcy tronu na manewry poznańskie.

Hakatyści d. 14 i 15 b. m. wiecowali w Gdańsku.

Niemiecka „Pantera“ na wodach hajtyjskich zatopiła flotę rzeczypospolitej Haiti, składającą się —z jednej kanonierki. Stało się to zaraz po mowach Roosevelta o doktrynie Monroego, a było skutkiem odwetu za zabranie przez Haityjczyków broni dowożonej na wyspę przez Niemców. Czyn jest bezprawnym, gdyż kanonierka była statkiem państwowym, chociaż znajdowała się w mocy jednego z walczących stronnictw. Dla samej logiki Unia amerykańska powinnaby z charakteru państwowości skorzystać i poprzeć protestacye haityjskie. Albo Monroe, albo der deutsche Michel—zdaje się, że drugi z nich będzie na wierzchu, bo nota półurzędowa w dziennikach nowojorkskich usiłuje dowieść, że doktryna dotyczy tylko zajmowania nowych terytoryów, ale nie sporów z Europą.

Minister marynarki, Pelletan, miał d. 14 b. m. wysoce polityczną mowę w Ajaccio: Korsyka łączy północną Afrykę francuską z Francyą, wschód Korsyki zwraca się ku sercu Włoch; morze Śródziemne ma wielkie dla Francyi znaczenie; Korsyka otrzyma fortyfikacye.

Rząd francuski wyjaśnił dymisyę Montebella jego klerykalizmem i intrygowaniem przeciw rządowi, który już za Waldeck - Rousseau'a chciał go wydalić. Wyjaśnienie to dano przez *Matin*. Inna nota opiewała, że Montebello zużył się przez 10 lat ambasadorstwa, a zużytego nadal trzymać nie chciano. Wreszcie w *Polit. Correspondenz* wyjaśniono zmianę potrzebą posiadania w Petersburgu dyplomaty znającego dobrze stosunki wschodnie, chińskie. Takim właśnie ma być Bompard, następca Montebella.

Według urzędowego ogłoszenia angielskiego Boerowie, oprócz podwyższenia fundnszu na nowe gospodarstwa żądają: amnestyi dla wszystkich, w myśl obietnic Kitchenera; równouprawnienia języka holenderskiego z angielskim w urzędzie i szkole; wynagrodzenia urzędników, o ile będą utrzymani na posadach; zaniechania aneksyi Natalu do Transwalu; zdjęcia przymusu z przysięgi na wierność; przejęcia długów wojennych wraz z państwowymi.

W Barcelonie rozruchy z rozlewem krwi na tle stosunków robotniczych.

W Monachium zebrał się w niedzielę kongres demokratów socyalistycznych.

W Austro-Węgrzech myślą o nowych 3 pancernikach i 9 krążownikach za 100 mil. koron. Rozchodzi się wieść o podróży ces. Fr. Józefa do Rzymu i odwiedzeniu króla włoskiego w Kwirynale.

Zaburzenia zagrzebskie z d. 1—3 b. m. są przedmiotem dochodzeń sądowych. Pierwszorzędni obywatele kierowali ruchem. W więzieniu siedzi dwóch redaktorów, vice-prezes izby handlowej i inni. W Serbii ruch nienawiści ku Chorwatom szerzy się coraz bardziej.

W Dublinie odbył się wiec narodowy przeciwko niedawno ogłoszonemu stanowi wyjątkowemu w sześciu hrabstwach, w samym Dublinie i w Limericku.

W Stambule oczekują chedywa egipskiego.

Powstańcy w Kolumbii pobili wojska rządowe i zajęli Bananę. Powstańcy w Wenezueli posuwają się „zwycięzko“ naprzód. Jutro będą uciekali.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY GALICYJSKIE.

Przed paru laty głośne było w Galicyi hasło „koncentracyi stronnictw demokratycznych,“ rzucone przez posła Daszyńskiego w jego broszurze „Szlachetczyzna a reformy.“ Hasło to, dość sympatycznie przyjęte przez znaczny odłam demokracyi mieszczańskiej i ludowej, przebrzmiało ostatecznie bez donośnych wyników. Nastraszeni stańczycy potrafili, skorzystawszy z niego, rozbić tak zwaną lewicę sejmową na dwa wrogie obozy i w końcu tak steroryzować jej mniejszość, rwącą się do wcielenia w życie hasła „koncentracyi,“ że musiała powrócić na dawne stanowisko oportunistyczne. Odłam obozu chłopskiego, dotychczas jeszcze prowadzony na pasku przez Stojałowskiego, zerwał bardzo prędko ze wszelkiemi próbami „koncentracyi,“ Koniec końców pozostały na placu tylko dwa stronnictwa — ludowe i robotnicze — popierające się wzajemnie, skoro chodzi o zwalczenie reakcyi. Wcielenie więc w życie hasła „koncentracyi“ w całej jego rozciągłości nie udało się.

Obecnie galicyjskie stronnictwo ludowe podnosi myśl „koncentracyi,“ ale już w nowej formie i w zastosowaniu do celów odmiennych. Wychodząc z tego założenia, że istnieje cały szereg bardzo ważnych spraw, których załatwienia w pewnym kierunku mogą żądać ludzie innych zapatrywań, ludzie, należący do rozmaitych obozów politycznych i społecznych, inicyatorowie nowego projektu zwołują wiec ogólny. Wiec ten ma rozważyć i określić ściśle ten poziom, na którym mogą się połączyć we współdziałaniu wszystkie stronnictwa galicyjskie. Dla urzeczywistnienia tej myśli wybrano komitet, który, uzupełniwszy się na razie gronem członków ze Lwowa, przyjął w zasadzie zarys programu wiecu, przedstawiony mu przez Szczepana Mikołajskiego. Wiec, który wkrótce już ma być zwołany, poweźmie szereg uchwał, dotyczących działalności publicznej nietylko w Galicyi, ale również na Śląsku austryackim i na Bukowinie.

Jedno z pierwszych miejsc w szeregu spraw, które mają być poruszone na tym wiecu, zajmuje „planowe współdziałanie towarzystw.“ Prowizoryczny program wiecu uznaje za pożądane i możliwe połączenie wszystkich towarzystw o pokrewnym charakterze w jeden związek, mający ułatwić przegląd pracy i skierowanie wysiłków na miejsca najbardziej zagrożone lub wymagające energiczniejszego działania. Tak np. na polu oświaty ludowej w Galicyi i na Śląsku czynne są różne instytucye i towarzystwa, jak tow. Oświaty ludowej, tow. Szkoły ludowej, tow. Uniwersytetu ludowego. Powszechne wykłady uniwersyteckie, rozmaite towarzystwa, wydające popularne dziełka ludowe itd. Otóż instytucye te najczęściej nie mają ze sobą żadnej styczności, przez co traci się dużo czasu i środków na jedną robotę, gdy inne pola leżą odłogiem. Pożądanem byłoby natomiast, aby istniał jakiś racyonalny podział pracy co do tematów rozpraw, wydawnictw, odczytów, zakładania czytelń itd. Z drugiej strony na jeden punkt słaby lub zagrożony mogłyby śpieszyć we wspólnem porozumieniem wszystkie organizacye. W niejednej gminie możnaby skutecznie dopomódz ludności, gdyby się nie zajęło jednocześnie i tow. Szkoły lud. przez założenie ochronki, i tow. Oświaty przez ufundowa-

---

i słabnie.“ — „W tem wszystkiem nie widzę nic złego“ — mówi ojciec, chcąc mi dodać otuchy. — „Ale w tamtym roku nic nie urodziło na polach, ziemniaki zupełnie przepadły, żyto ześniedziało, tak że oboje z matką uradziliśmy odłożyć wesele na rok. Ja tak sobie wymiarkowałem, jak to myślano w dawniejszych czasach, że kiedy wyszły zapowiedzi, to niekoniecznie trzeba czekać do ślubu...“ — „Gdybyś wziął którą z naszego rodu, toby się to jakoś ułożyło“ — mówi ojciec. — „A jużci — odpowiadam — widziałem dobrze, że Bricie nie w smak ta zwłoka, ale uważałem, że nie mam środków na wesele; wszak-ci na wiosnę mieliśmy pogrzeb, a nie chciałem podnosić pieniędzy z banku.“ — „Dobrześ zrobił, żeś czekał“—mówi ojciec. — „Tak, ale ciągle obawiałem się, że Bricie będzie przykro, jeżeli wypadnie chrzcić przed ślubem...“ — „Przedewszystkiem trzeba mieć środki.“ — Tymczasem Brita stawała się z każdym dniem bardziej milcząca i dziwna. Sądziłem, że tęskni do swoich, bo kochała bardzo dom i rodziców. To przejdzie — myślałem sobie— jak się przyzwyczai; musi przecież polubić Ingmarowszczyznę. Czekałem jakiś czas, a w końcu zapytałem matki, dlaczego Brita taka blada i patrzy tak dziko. Matka powiedziała, że to dlatego, iż Brita będzie miała dziecko, ale potem znów stanie się taką, jaką była. Podejrzewałem, że ją trapi zwłoka ze ślubem, ale obawiałem się o to zapytać. Mówiłeś zawsze, ojcze, że kiedy się będę żenił, wszystko musi być świeżo wymalowane na czerwono, a w tamtym roku w żaden sposób nie mogłem się zdobyć na ten wydatek. W roku przyszłym zrobi się wszystko odrazu, myślałem sobie.

Oracz idąc, poruszał ustami. Tak był zatopiony w dumaniach, że widział przed sobą wyraźnie twarz ojca.

— Muszę mu wszystko opowiedzieć dokładnie i jasno — myślał — żeby mógł mi dać dobrą radę. Tak przeszła cała zima i nieraz przychodziło mi do głowy, że jeżeli Brita będzie ciągle taka nieszczęśliwa, to przyjdzie wyrzec się jej i odesłać ją do domu, ale i na to było już za późno. Jednego wieczora w maju uważamy, że się gdzieś zapodziała, szukaliśmy całą noc, aż nad ranem jedna z dziewek znalazła ją.

— Teraz trudno mi jakoś mówić dalej, więc milknę, a ojciec pyta: „O dla Boga, ale przecie nie martwa?“ — „Nie, ona była żywa“ — powiadam, a ojciec słyszy, jak mi drży głos.— „Czy dziecko urodziło się?“ „Urodziło się — odpowiadam — zadusiła je, leżało przy niej nieżywe.“— „Ale może ona była głupkowata?“ — „Mądra była, zrobiła to, żeby się zemścić na mnie za to, żem się jej gwałtem narzucił. Nie zrobiłaby tego, żebym się był z nią ożenił, ale teraz, mówiła, kiedy nie chciałeś mieć dziecka uczciwie, to nie masz żadnego.“ Ojciec zasmucony milczy. „Cieszyłbyś się z dziecka, młody Ingmarze“— mówi w końcu. — „Cieszyłbym się?“—odpowiadam. — „Szkoda, żeś się wdał ze złą kobietą. A teraz siedzi pewnie w więzieniu?“ — „Siedzi, osądzili ją na trzy lata.“ — „I dlatego nikt nie chce wydać za ciebie córki?“ — „A tak, lecz i ja żadnej nie chcę.“ — „I dlatego nie masz znaczenia we wsi?“ — „Ludzie są zdania, że nie powinno było stać się tak z Britą. Powiadają, że gdybym był mądrym chłopem, jak ty, tobym się był z nią rozmówił i dowiedział, co jej tak dogryza.“ — „Nic tak to łatwo dla chłopa wyrozumieć złą kobietę.“ — „Nie, ojcze, Brita nie była złą, tylko dumną.“ — „To na jedno wychodzi.“ Miarkując, że ojciec trzyma za mną, powiadam: „Jest wielu takich, co myślą, że dałoby się urządzić tak, aby sądzono, że dziecko przyszło na świat nieżywe.“ — „Dlaczegóż nie ma odcierpieć za winę?“ — mówi ojciec. — „Powiadają, że gdyby się to stało za twego życia, tobyś zmusił dziewkę, która ją znalazła, do milczenia i nieby nie wyszło po za dom.“ — „A czy ożeniłbyś się z nią wtenczas?“ — „Nie, wtenczas nie potrzebowałbym się żenić, mógłbym po paru tygodniach odesłać ją rodzicom pod pozorem, że tu marnieje.“ „Być może, ale nie trzeba wymagać od ciebie młodego, abyś był tak mądry, jak stary.“ — „Cała wieś jest zdania, że postąpiłem źle z Britą.“ — „Ona postąpiła go-

nie czytelni, i tow. Kółek rolniczych przez urządzenie kółka, i tow. spółki spożywczej, wytwórczej, pożyczkowej itd. Należy jeszcze zauważyć, że do związku mogłyby należeć i osoby mieszkające w okolicach, gdzie wcale niema filij żadnego z wymienionych towarzystw.

Jednym z punktów porządku dziennego wiecu ma być „walka z germanizacyą na polu językowem.“ Prowizoryczny program wiecu proponuje postanowić i konsekwentnie przeprowadzić następujące zasady: napisy niemieckie na sklepach mają być usunięte; handlów z niemieckimi napisami publiczność polska ma unikać; z restauracyj, kawiarń i innych lokalów publicznych mają być wyrugowane niemieckie pisma polakożercze; publiczność ma się stanowczo tego domagać, a gdzieby nie uczyniono zadość żądaniu, tam nie uczęszczać; w koniecznych stosunkach z agentami handlowymi i z kupcami nie godzi się używać języka niemieckiego w słowie lub piśmie; na kupieckie listy niemieckie należy odpowiedzieć po polsku lub listy te zwrócić, jako niezrozumiałe, należy czuwać, aby w stosunkach ze stronami nie naruszano praw języka polskiego w urzędach, w których rozporządzenia ministeryalne nakazują używanie języka polskiego itd.

Po za tem wiec ma się zająć sprawą emigracyi, popieraniem przemysłu krajowego, unarodowienia szkolnictwa, ofiarności na cele ogólne, informowania zagranicy o sprawach krajowych itd.

Sam pomysł wiecu ogólnego został przyjęty — po za sferami konserwatywnemi naturalnie — dość sympatycznie, jakkolwiek różne stronnictwa rozmaicie się zapatrują nietylko na jego znaczenie, ale i na samo zadanie. Przeważnie brak wiary w to, aby już pierwszy wiec dał jakieś wyniki konkretne w postaci uchwał, któreby natychmiast weszły w życie. Zdaniem większości, donioslość wiecu będzie polegała głównie na wymianie zdań w najbardziej palących sprawach, na przeprowadzeniu wyczerpujących rozpraw i na wyświetleniu dróg, jakiemi różne stronnictwa mogłyby dążyć razem do pewnych wspólnych celów.

Dotychczas zgłosiły się w charakterze uczestników w wiecu następujące stronnictwa: ludowe, katolicko-narodowe, polskie demokratyczne, demokratyczno-narodowe i robotnicze. Do akcyi wiecowej przyłączyły się też niektóre kółka rolnicze, filie towarzystw: Szkoły ludowej, gniazda Sokoła, organizacye młodzieży. Do uczestnictwa zgłosili się księża, urzędnicy, włościanie, obywatele ziemscy itd. Oficyalnie zrzekli się udziału w wiecu tylko ks. Stojałowski i klub stańczyków.

Nie przesądzając praktycznych wyników wiecu, z góry można powiedzieć, że myśl zwołania go może się przyczynić do wyjaśnienia wielu ważnych stron galicyjskiego życia publicznego i zapoczątkować niejedną akcyę pożyteczną. Wszystko naturalnie będzie zależało od taktu komitetu, który się sprawą wiecu zajmie.

Niezbyt dawno mówiłem na tem miejscu o uchwalonej na ostatniej sesyi sejmowej zmianie ustawy szkolnej, dotyczącej płac nauczycielskich. Na regulacyę tych płac przeznaczono drobną stosunkowo sumę 670,000 koron, co jednak przez wszystkie pisma reakcyjne było uważane za nadzwyczajne dobrodziejstwo względem nauczycielstwa ludowego. Nie obeszło się przytem bez narzekań na „nienasyconość“ nauczycieli, którzy nie chcą ocenić łaski spadającej na nich. Uchwalając podwyższenie płac nauczycielskich, konserwatyści byli pewni, że się na długo uwolnią od natrętnych domagań nauczycielstwa. Tymczasem ostatni numer *Szkoły*, organu Towarzystwa pedagogicznego, a więc pisma lojalnego, reprezentującego nie radykałów, skupiających się dokoła „Szkolnictwa,“ ale nauczycieli, niebiorących udziału w agitacyi politycznej, zamieszcza artykuł „Nauczycielstwo a sejm krajowy,“ stanowiący prawdziwą niespodziankę dla konserwatystów. Artykuł ów oświadcza: „Jak dalece obecne traktowanie dorywcze spraw szkolnych rozgoryczyło nauczycielstwo, przytaczamy na dowód jeden rys charakterystyczny: Oto redakcya nasza otrzymała ze sfer nauczycielskich poważnych, wcale niepolitykujących, projekt, aby wnieść do najjaśniejszego pana zbiorową prośbę o *odmówienie sankcyi* uchwalonej niedawno zmianie ustawy szkolnej.“

Widać, że stan obecny jest już wprost nie do zniesienia, jeśli nawet najbardziej konserwatywne sfery nauczycielskie porzuciły swą zwykłą bierność i rzuciły się do samopomocy, we właściwy sobie sposób pojętej. Istotnie, w porównaniu z płacami nauczycieli w Czechach, na Morawach i nawet na Śląsku, płace w Galicyi są niezmiernie nizkie. Na 8,762 posad nauczycielskich, wyszczególnionych w budżecie krajowym, przypada 7,343 miejsc z płacą niższą od 1,001 koron. Z pomiędzy nich 5,797 posad nie sięga płacą nawet 801 koron, a 1,113 nauczycieli i nauczycielek niekwalifikowanych pobiera rocznie po 500 koron. Wobec takiego stanu rzeczy i wobec tego, że konserwatywna większość sejmowa poprostu drwi sobie ze słusznych żądań nauczycielstwa, w łonie jego powstają najróżnorodniejsze projekty zaradzenia złemu, w rodzaju strejku nauczycieli, upaństwowienia szkoły lub, jak obecnie, niedopuszczenia do zatwierdzenia najwyższego bezprogramowej łataniny sejmowej. Konserwatywna część nauczycielstwa galicyjskiego sądzi, że przeciwdziałając wejściu w życiu uchwalonej przez sejm reformy, przyczyni się do gruntownego przeistoczenia płac nauczycielskich, gdyż sejm wcześniej czy później będzie musiał się niemi zająć, a częściowe, dorywcze reformy w rodzaju ostatniej, opóźniają tylko gruntowną.

Ponieważ zaś naprawa stosunków, panujących w szkolnictwie galicyjskiem, a więc i przyspieszenia zaniku analfabetyzmu, związana jest ściśle ze sprawą podwyższenia płac nauczycielskich, przeto jak najgruntowniejsze i jak najprędsze rozstrzygnięcie tej ostatniej leży w interesach nietylko stanu nauczycielskiego, ale całego społeczeństwa.

Daleki.

Z Niemiec.

Zgon tytana.

Kilkakrotnie filologowie, olśnieni wielostronnością Homera, robili przypuszczenie, iż pod nazwiskiem tem ukrywa się kilku pieśwców. Uważali bowiem za niemożliwe, aby jedna osoba była tak doskonale wtajemniczona w najdrobniejsze szczegóły zarówno techniki wojennej swego czasu, jak geografii, obyczajów, legend, historyi itd. Przyszłe pokolenia prawdopodobnie nieraz będą usiłowały nadać zmarłemu świeżo Rudolfowi Virchowowi wieloosobowość. Zdarzy się to za każdym razem, gdy dokonywany będzie

---

rzej, sprowadzając hańbę na uczciwych ludzi.“ — „Tak, ale ja się jej narzuciłem.“ — „To się powinna była tylko cieszyć z tego.“ — „Czy nie zdaje ci się, ojcze, że z mojej przyczyny siedzi w więzieniu?“ — „Ja myślę, że z własnej winy.“ Wtenczas podnoszę się i mówię powoli: „Czy nie sądzisz, ojcze, że należałoby dla niej coś zrobić, jak wyjdzie na wolność w jesieni?“ — „A cóż możesz zrobić, czy chciałbyś się z nią ożenić?“ — „Powinienbym.“ Ojciec patrzy na mnie przez chwilę i pyta: „Kochasz ją?“ — „Nie — ona zabiła we mnie miłość.“ Ojciec zamyka oczy, nic nie mówi i zaczyna dumać. „Widzisz, ojcze, ja nie mogę pozbyć się myśli, że sprowadziłem nieszczęście.“ Starzec siedzi cicho i nie odpowiada. „Ostatni raz widziałem ją w sądzie, była taka łagodna i tak płakała, że nie ma już dziecka. Nie oskarżała mnie o nic, wszystko przyjęła na siebie. Wielu bardzo płakało, nawet sędziemu zakręciła się łza w oczach, to też skazano ją tylko na trzy lata.“ Ojciec nie mówi ani słowa. „Ciężko jej będzie w jesieni, jak powróci do domu; nie będą jej tam radzi w Bergskog, bo zniesławiła ich, i dadzą jej to pewnie poczuć. Będzie musiała siedzieć w domu, nie odważając się nawet do kościoła. Ciężko jej będzie pod każdym względem.“ Ojciec nic nie odpowiada. „Ale nie jest to dla mnie łatwą rzeczą ożenić się z nią. Takiemu gospodarzowi, jak ja, nie wypada mieć żony, na którą parobki i dziewki mogą patrzeć z góry. Matce będzie to także przykro. Nie będziemy mogli zadawać się z porządnymi ludźmi.“ Ojciec ciągle milczy. „W sądzie starałem się dopomódz jej, jak mogłem; mówiłem sędziemu, że wina spada na mnie, bo narzuciłem się jej. Powiedziałem także, że uważam ją za tak niewinną, że gdyby tylko zmieniła swe uczucia dla mnie, gotów jestem zaraz wziąć ją za żonę. Mówiłem tak, żeby ją łagodniej osądzono, a chociaż dostałem od niej dwa listy, to jednak nic nie wskazuje, żeby zmieniła swoje względem mnie usposobienie. Rozumiesz więc, ojcze, że nie jestem obowiązany do żeniaczki z powodu tego gadania.“

Ojciec siedzi cicho i duma.

„Ja wiem, że to jest brać rzeczy po ludzku, a my, Ingmarsonowie, chcieliśmy zawsze być w zgodzie z Bogiem, ale tak sobie rozumuję czasami, że może i Bogu nie byłoby miłem wyniesienie morderczyni.“

Ojciec ciągle milczy.

„Pomyśl tylko, ojcze jak to ciężko wiedzieć, że ktoś cierpi i nie spróbować dopomódz. Pewno cała wieś weźmie mi to za złe, ale przez te lata tak mnie gniotło, że muszę coś zrobić, gdy wyjdzie z więzienia.“

Ojciec siedzi nieruchomo.

„Wtenczas dławiąc się łzami, powiadam: Widzisz, jestem młody i stracę dużo, jeżeli ją wezmę. Dawniej mówiono, żem źle postąpił, a teraz powiedzą, że jeszcze gorzej.“

Lecz nie mogę dobyć z ojca ani słowa.

„Zastanawiałem się także i nad tem, dlaczego my, Ingmarsonowie, utrzymaliśmy naszą zagrodę przez setki lat, kiedy wszystkie inne przechodzą z ręki do ręki, i tak sobie wymiarkowałem, iż to dlatego, że my zawsze szukaliśmy dróg Pańskich. My, Ingmarsonowie, nie mamy czego obawiać się ludzi, my powinniśmy tylko chodzić po drogach Pańskich.“

Starzec podnosi oczy i mówi: „Zadałeś mi trudne pytanie, trzeba mi pójść poradzić się innych Ingmarsonów.“ Wraca do świetlicy, a ja pozostaję w kuchni. Siedzę i siedzę, czekam i czekam, a ojciec nie wraca. W końcu znudzony wchodzę także do świetlicy. „Bądź tam cierpliwy, młody Ingmarze — mówi ojciec — to jest trudne pytanie.“ Widzę, jak starzy siedzą z zamkniętemi oczami w zadumie i czekam, czekam dotychczas...

(C. d. n.)

Tłom. ze szwedz. *F. Szukiewicz.*

przegląd wszystkich zdobyczy, które ludzkość zawdzięcza temu wyjątkowemu umysłowi, gdy zestawiane będą daty i fakty biograficzne jego pięknego żywota. My, cośmy się przyzwyczaili do niego, cośmy czerpali pełną garścią z niewysychającej krynicy jego twórczości, chcąc dziś zrobić powierzchowny remanent pozostałej po nim puścizny duchowej, jesteśmy wprost w kłopocie. Stoimy w zdumieniu przed stosem napisanych przezeń prac, przed ogromem dokonanych przezeń odkryć, przed bogactwem jego niezmordowanej, przeszło pięćdziesięcioletniej wszechstronnej działalności, wkraczającej w najrozmaitsze dziedziny ducha ludzkiego. Prawdziwie naukowa ocena zasług Virchowa jest wprost niemożliwą, już choćby dlatego, że dziś, w wieku specyalności, jednostronności i mrówczego krzątania się karłów, niema człowieka, mogącego opanować te wszystkie dziedziny ducha, na których Rudolf Virchow wycisnął pieczęć swej indywidualności. Z tego zadania mogłaby się chyba wywiązać wielogłowa komisya, złożona z gruntownych rzeczoznawców. A tymczasem wszystko to płynęło z jednego umysłu, tworzącego pod niezmiennym kątem widzenia, z wielkiego serca, które jednakowymi tonami odpowiadało na wymagania i potrzeby życia. A wszystko, czego się dotknął, rozrastało się pod jego ręką do rozmiarów olbrzymich. Był on bowiem z rodu tych samych tytanów, co Michał Anioł, wykuwający swe rzeźby ze skał, co Leonardo da Vinci, który jednocześnie pisał dzieła o locie ptaków, budował fortyfikacye miast i malował nieśmiertelne obrazy, co autor „Kapitału," który kierował ruchem mas ludowych całej Europy, a jednocześnie tworzył wiekopomne dzieła naukowe. Virchow, ten mały, chudy staruszek, w okularach i wytartym paltocie, był ostatnim olbrzymem wśród pokolenia pigmejów, śmiesznych w swej nicości i zarozumiałości. Medycyna, hygiena społeczna, etnografia i polityka stoją nad grobem jego w cichem skupieniu, pogrążone w głębokiej żałobie.

Zgon Virchowa dotknął najboleśniej medycynę, której był on ostatnim klasykiem, którą sam piastował, sam wychował na prawdziwą naukę. Przed laty pięćdziesięciu, gdy Virchow objął posadę prosektora w berlińskim szpitalu Charité, medycyna była jeszcze pod opieką metafizyki i gubiła się sama w bezpłodnych a mglistych spekulacyach, pozbawionych krytycyzmu. On ją dopiero wyszkolił w duchu umiejętności pozytywnej, wywalczywszy patologii ogólnej zupełną autonomię. W przeciągu lat kilkunastu kładzie on sam jeden podwaliny pod wielką budowę medycyny klinicznej w jej nieprzejrzanej rozciągłości. Dziesiątki tysięcy lekarzy napływają do jego instytutu patologicznego, aby roznieść po świecie nową metodę badania, która dokonała rewolucyi i stanowi w medycynie epokę. Zapożyczywszy od Schwanna naukę o komórce, jako o ostatecznym pierwiastku biologicznym, roztoczył on niebawem nowe zupełnie widnokręgi, gdy w przeciwieństwie do Schwanna dowiódł w sposób niezbity, iż wszelka komórka powstaje tylko z komórki. W ten sposób powołał on do życia fizyologię i patologię komórkową. Komórka objęła w nauce zaszczytną rolę nosicielki wszelkich procesów życiowych, zarówno normalnych, jak chorobliwych. W labiryncie medycyny nić Ariadny została odnalezioną, a odkrywca jej, Virchow, stał się w ten sposób ojcem medycyny nowoczesnej, a zarazem mistrzem wszystkich lekarzy całej kuli ziemskiej — *totius orbis omnium medicorum praeceptor*, jak go tytułował w swej przeszłorocznej mowie włoski minister i uczony, Baccelli, podczas 80-letniego jubileuszu. Wprawdzie od r. 1871 nie wyszło nowe wydanie „Patologii komórkowej" Virchowa, a wszelkie skierowane doń prośby o wykazanie stosunku jego własnej teoryi do nowych zdobyczy medycznych (np. bakteryologicznych) nie zdołały skłonić wielkiego uczonego do nadania jej szaty współczesnej. Co prawda, nie zawsze potrafił on oczyścić się z robionych mu zarzutów mizoneizmu, gdyż zachowanie się jego względem nowych postępów medycyny sprawiało takie wrażanie, jak gdyby ich niedoceniał. Pomimo to, medycyna zawdzięcza jemu, tylko jemu swe dzisiejsze stanowisko naukowe.

Co go zaś szczególnie wyróżnia ze wszystkich epigonów jego — to umiejętność nadania teoryi naukowej tła społecznego. Mniej go obchodziły książki i podręczniki, o których wogóle odzywał się bardzo zjadliwie, mniej sama teorya, niż jej zastosowanie praktyczne. Życie było panią, której służył przez lat kilkadziesiąt wiernie i niezmordowanie. Potrzeby życia, jak to zaświadczył w przeszłym roku w mowie, wygłoszonej do studentów, dały mu bodźca do pracy naukowej. Widok Śląska, ludzi nagich, ciemnych i przymierających z głodu, szarpnął boleśnie jego duszą i rozbudził w nim chęć oddania medycyny na usługi cierpiącej ludzkości. Praca, którą ogłosił po powrocie ze Śląska, dokąd, jak wiadomo, wydelegowano go dla zbadania tyfusu głodowego, zawierała program jego całego życia. Ta nieubłagana w swej szczerości satyra na gospodarkę pruską, ten wielki obraz nędzy i ciemnoty, jakie przedstawił po mistrzowsku w swem sprawozdaniu, dowiodły światu, że walka z chorobami jest drobną cząstką pracy kulturalnej nad dobrem ludzkości, a przedewszystkiem pozostaje bezsilną bez odpowiednich urządzeń społecznych. Dla szerzenia tej idei zakłada on specyalne pismo naukowe p. t. *Medicinische Reform* i tu daje zarys licznych reform hygieniczno-społecznych, które później zostały w czyn wprowadzone. Tu domaga się reorganizacyi pomocy lekarskiej i szpitalnictwa na zasadach społecznych, ubezpieczenia robotników fabrycznych, reformy szkolnictwa, udoskonalenia instytucyj gminnych i ogólno-państwowych. Tylko w tych warunkach, według niego, lekarz może stać się pożytecznym dla społeczeństwa.

Wybrany do rady miejskiej Berlina, usiłuje platoniczne te życzenia wcielić w czyn. Pod jego kierownictwem Berlin staje się najczystszem i najzdrowszem miastem na kuli ziemskiej. On pierwszy na lądzie europejskim opracował plan kanalizacyi i pomimo zaciekłego oporu, stawianego mu co do jej szczegółów, wykonał go w sposób wzorowy. On zreformował szpitalnictwo berlińskie i pierwszy zastosował w stolicy nadszprewiańskiej system barakowy, zamiast przestarzałego i szkodliwego korytarzowego. On pierwszy położył kres opłakanym stosunkom, które panowały w zakładach dla obłąkanych. Z jego inicyatywy Berlin wprowadza powszechne obowiązkowe szkoły elementarne, udoskonala oświetlenie miasta, zakłada parki i skwery, a przedewszystkiem urządza pierwsze oparte na podstawach naukowych oględziny mięsa. Virchow wreszcie organizuje pierwszy znakomitą statystykę Berlina, odbijającą i kontrolującą nieustannie działalność wszystkich miejskich instytucyj sanitarnych.

Działalność naukowa uczonego, godna nieśmiertelnego koryfeusza, i gorliwe krzątanie się radcy miejskiego około spraw stolicy nie powstrzymały Virchowa od pracy na innych polach kultury. Mamy na myśli politykę. I tu pozostał on sobą, i tu wytknął sobie zupełnie te same cele, do których dążył na polu medycyny. I tu program jego zawierał tę samą sakramentalną formułkę, którą w swem sprawozdaniu z wycieczki do Śląska ujął w słowa: „Światło, powietrze, woda, mieszkanie, oświata, dobrobyt ekonomiczny, wolność." Ta właśnie wolność była jego gwiazdą przewodnią w polityce. Rozumiał ją inaczej może, niż pojmujemy, my, dzieci doby dzisiejszej, ale bądź co bądź w sposób piękny i szlachetny. W żadnym Niemcu nie miał Bismark tak szczerego i zaciętego wroga, jak w Virchowie. Żaden uczony współczesny nie piętnował z takim zapałem antysemityzmu, jak Virchow. Gdy szło o ideały wszechludzkie, potrafił on nawet kroczyć z wzniesionem czołem przeciwko opinii publicznej. W przededniu wybuchu wojny francusko-niemieckiej, gdy Du Bois-Reymond przepraszał słuchaczy za swe francuskie nazwisko, Virchow protestował przeciwko przelewowi krwi i żądał powszechnego rozbrojenia. A że nietylko słowami umiał bronić swych ideałów, świadczy gorliwość, z jaką stał na straży najważniejszej gwarancyi konstytucyi prawa kontroli budżetu przez parlament.

Obok tej głównej działalności, Virchow miał jeszcze sporo zajęć dodatkowych i pobocznych, o ile wogóle można użyć tego wyrazu, gdy mowa o Virchowie, który wszędzie i zawsze był sobą i niczego nie traktował powierzchownie. Przez lat kilkadziesiąt stał on na czele umiejętności antropologiczno-etnograficznej Niemiec. Żadne z wielkich odkryć w tej dziedzinie nie odbyło się bez jego współudziału, pomocy lub poparcia; sam ogłosił *kilkaset* prac, organizował lub podejmował na własną rękę liczne wyprawy naukowe i wydawał pisma.

Pochłonięty tylu obowiązkami, znajdował jeszcze czas na popularyzacyę nauki w najszlachetniejszem tego słowa znaczeniu. Mistrz, przed którym bili pokłony władcy świata, któremu składali hołdy koryfeusze nauki, nie wahał się schodzić na niziny w celu rozpraszania panujących tam mroków. W tym celu kierował on wydawnictwem broszur popularnych, a nawet sam przybywał do berlińskiego Stowarzyszenia rzemieślniczego, gdzie wygłaszał popularne odczyty przyrodnicze i urządzał pogadanki naukowe, podczas których odpowiadał możliwie obszernie na wszystkie zadawane przez obecnych pytania.

Ta pobieżna lista jego zasług i czynów przekonywa chyba, iż należał on do rzędu tych nielicznych olbrzymów myśli i ducha, na których nagrobku mają prawo być wyryte słowa: *Non omnis morior!*

H.

KARA W WYCHOWANIU.

Na zbiegu dwóch wieków, znana autorka szwedzka, Ellen Key, pomna zasług, które w sprawie poznania duszy dziecięcej położyło ubiegłe stulecie, patrzy z otuchą na różową jutrznię wschodzącego wieku i naprzód już nazywa go „stuleciem dziecka." Wierzy ona, że w wieku XX sprawa wychowania wysunięta zostanie na czoło wszystkich zadań społecznych i że blizkim jest czas, gdy do świadomości najszerszego ogółu przeniknie przeświadczenie o tem, jak świętą jest troska o dobro i rozwój młodego pokolenia.

Jeśli rzucimy okiem wstecz, jeśli weźmiemy pod uwagę, jak szybko odbył się przewrót w poglądach na wychowanie, i jak dużo w tej dziedzinie wiek XIX przysporzył do duchowej puścizny poprzednika swego, to przyjdziemy do wniosku, że słowa Ellen Key nie należy brać za dźwięk pusty, ani za czcze rojenia. W sprawach wychowania fala postępu potężnieje wciąż i szybko idzie naprzód.

Półtora stulecia oddziela nas zaledwie od ukazania się dzieł Rousseau'a, tych słupów granicznych między starym a nowym

poglądem na dziecko, między epoką, w której uważano je za własność rodziców, obowiązaną do ślepego posłuszeństwa i do nieskończonej wdzięczności za dar tak wątpliwej ceny, jakim jest życie, a czasami naszymi, które widzą w dziecku samoistne indywiduum, mające prawo do wszechstronnego rozwoju. Cały nowoczesny kierunek pedagogii wyrósł na gruncie przygotowanym przez J. J. Rousseau'a i jest owocem jego ducha. Dziedzictwem, po nim otrzymanem, żyjemy jeszcze dotychczas. Jemu zawdzięczać należy, że po systemie nauczania, polegającym na mechanicznem wlewaniu wiedzy do głów, w krótkim stosunkowo czasie zjawić się mogła tak jaskrawa krańcowość, jak szkoła w Jasnej Polanie, kierująca się zasadą, że wolność dziecka jest nietykalną i że nauczyciel powinien odbierać od uczniów wskazówki co do przedmiotu i metod nauczania. Wprawdzie już przedtem, wśród ciężkiej atmosfery, roztoczonej nad główkami dziecięcemi przez wieki średnie, rozlegały się głosy przeciwne systemowi, który wychowanie sprowadzał do nauczania, to zaś do wtłaczania do głów mnóstwa bezpożytecznych wiadomości (wykuwanie na pamięć klasyków wyśmiewał już Rabelais, wyszydzał Montaigne i zwalczał Locke), ale były to tylko szybko gasnące iskierki wśród głębokiego mroku. Wprawdzie już wiek XVI wydał takich pedagogów, jak Ratichius i Komeński, którzy usiłowali oderwać dzieci od książki, a pokazać im świat, zamiast suchych formułek i reguł chcieli zapoznać je z życiem, zamiast gramatyki martwych języków, wykładać im prawa przyrody i uczynić im naukę nie męką, ale rozkoszą; lecz były to tylko meteory, rozświetlające horyzont na czas krótki i pozostawiające po sobie znowu ciemność i noc.

Potrzeba było przedewszystkiem siły bezwzględnej, druzgocącej, która po gruzach miała dopiero utorować drogę profesorowi. W sprawach wychowania — powiedział Kant — potrzebne są nie reformy, ale rewolucya, lecz gdy wygłaszano te słowa, upragniony przewrót był już faktem dokonanym, choć uwięzionym jeszcze do czasu w książce, której tytuł brzmi: „Emil."

Od pierwszych słów „Emila": „wszystko jest dobrem, gdy wychodzi z rąk Stwórcy, wszystko się psuje w rękach człowieka" — rozpoczyna się walka zażarta z pozostałościami poprzedniej epoki i bój zawzięty o wyzwolenie dziecka z tych powijaków, którymi krępowano jego umysł. Głosem potężnym, którego w skupieniu słuchano dokoła, wydrwił Rousseau niemiłosiernie dawny system wychowania i burzył wszystko, by rozpocząć budowę na nowo.

„Powrót do natury" stał się też hasłem pedagogii. „Natura chce, żeby dzieci były dziećmi wprzód, nim staną się ludźmi; gdy zechcemy porządek ten zmienić, otrzymamy młodych uczonych i stare dzieci. Dzieci mają właściwy im sposób widzenia, sądzenia i czucia; niema nic bardziej nierozsądnego, jak chcieć im narzucać swój własny. Nie umiemy postawić się w położeniu dzieci i podsuwając im swój rozum, zapełniamy głowy ich fałszem i dziwactwami. Natura daje dziecku mózg nie po to, byśmy wbijali weń nazwy, daty i terminy, najrozmaitsze wyrazy, niemające zgoła sensu w jego wieku, bo i czegóż uczymy go ostatecznie? Słów, słów i zawsze tylko słów."

Tych i tym podobnych poglądów słuchano w niektórych kołach z oburzeniem, lecz stały się one niebawem ewangelią nowej pedagogiki, która je urzeczywistniać zaczęła. Basedow dla swej szkoły w Dessau zbiera nieskończone kolekcye roślin, zwierząt, minerałów i narzędzi, w myśl nauki Rousseau'a, że „niema książki, prócz księgi świata, niema nauki, prócz nauki faktów." Pestalozzi, twierdząc zgodnie z zasadami Rousseau'a, że głównym celem wychowania jest nie mechaniczne nauczanie, lecz rozwój charakteru i zdolności, jedynym zaś środkiem po temu — zjednanie sobie serca dziecka, zbiera w Neuhof i Stanz dzieci włóczęgów i pijaków i o tych właśnie „szumowinach społecznych" pisze: „Przekonałem się, że dzieci, usunięte z nędznego otoczenia, stają się prędko dobre, uczciwe i sympatyczne, że najbardziej nawet zepsute wrażliwe są na dobroć i że oczy dziecka, przygasłe od nędzy, zapalają się radością i zdziwieniem, gdy po wielu latach niedoli widzi łagodną, przyjazną dłoń, która się z pomocą do niego wyciąga." Dla małych dzieci, któremi poprzednio, jako niezdolnemi jeszcze do wykuwania gramatyki, nie zajmowano się wcale, Frebel zakłada swoje ogródki dziecięce, ogródki dla „małych roślinek," w duchu słów Rousseaua: „rośliny hodujemy przez uprawę, ludzi — przez wychowanie." Dzieła Rousseau'a były skarbnicą myśli, z której nauka wychowania czerpała obficie i czerpie poniekąd dotychczas.

Drugim czynnikiem, który odegrał poważną rolę w zmianie poglądów na dziecko, był rozkwit nauk przyrodniczych w XIX stuleciu i ogłoszenie teoryi rozwoju. Teorya ta, zdetronizowawszy człowieka, dowiodła mu, że nie jest on bynajmniej szczytem, a tylko jednym ze szczebiów w drabinie rozwoju, i ukazała mu w perspektywie szereg następców, którzy nieskończenie przewyższać go będą. Dla przyrodnika „nadczłowiek" nie jest wcale tematem do konceptów, lecz żelazną, logiczną koniecznością postępu. „Był czas—mówi Bunge — że jedynemi czującemi stworzeniami na planecie naszej były rojące się w morzu pierwotnem wymoczki; przyjdzie czas, że ziemię zamieszkają istoty, które pod względem zdolności umysłowych o tyle od nas wyżej stać będą, o ile my przewyższamy rozumem wymoczki mórz pierwotnych."

Kto z tego stanowiska spogląda na dzieje człowieka, ten już w każdej następującej po nas generacyi odnajdzie jakąś odrobinkę wyższości i nie zechce swoim małym rozumkiem powstrzymywać niezmiennych praw przyrody. Nie będzie też próbował urabiać ludzi przyszłości według swojej miary, lecz postara się o jak najbujniejszy rozwój wrodzonych im uzdolnień.

Spencer uzasadnił pogląd, że i wychowanie iść musi zwykłymi szlakami rozwoju, tj. że i tutaj należy przechodzić od rzeczy prostych do złożonych, od pojęć konkretnych do oderwanych i od doświadczeń do uogólnień. „Jednostka w przyswajaniu sobie wiedzy iść musi tą samą drogą, jaką szła ludzkość." Jest to przeniesione na pole pedagogii prawo biogenetyczne, opiewające, że rozwój zarodkowy osobnika jest skróconem powtórzeniem rozwoju gatunku. W związku z teoryą rozwoju zwrócono baczniejszą uwagę na prawa dziedziczności i na ich znaczenie pod względem wychowawczym.

Niemniej ważnem było powstanie psychologii fizyologicznej. Prace Wundta, Galtona, Preyera, Kraepelina i wielu innych rzuciły niemało światła na rozmaite właściwości duszy dziecięcej. W ten sposób, ze współdziałania wszystkich tych czynników i na tle ogólnego postępu cywilizacyjnego, ukształtowały się współczesne poglądy na dziecko i odmienne zgoła pojmowanie wychowania od tradycyjnych, przesądnych wierzeń.

Widzimy teraz w dziecku światek odrębny z właściwym mu sposobem rozumienia i czucia. Tej misternej budowy nie wolno brutalnie rozbijać lub ciężką ręką dotykać. Musimy drogą intuicyi zejść na stanowisko dziecka, nauczyć się patrzeć jego oczyma i czuć jego sercem. Musimy uszanować indywidualność małego człowieczka, nie drażnić go ciągłemi uwagami i nie ranić szyderstwem. Nie wdzierając się w świat jego myśli i uczuć, powinniśmy kierować ich rozwojem z zewnątrz, spełniając przytem tylko, według słów Pestalozziego i Froebla, rolę „życzliwego dozorcy" i „troskliwego ogrodnika." W ten sposób po niewolniku, włościaninie i kobiecie przyszedł czas na wyzwolenie dziecka.

Nowoczesne poglądy włożyły w sprawę wychowania i w stosunek nasz do dzieci niezmiernie dużo nadziei i miłości. Patrzymy teraz na młode pokolenie, nie jak na małych zbrodniarzów, których ciągłem karceniem urobić wreszcie mamy na takich przyzwoitych i rozsądnych obywateli, jakimi sami jesteśmy, lecz na zasadzie poważnych danych naukowych, w tych małych ludziach widzimy złożone zadatki lepszej przyszłości. Podźwigną oni to brzemię, pod którem my upadamy, na nowo poruszać będą z posad bryłę świata, złamią to, czego nasz rozum nie złamał i wznowią Ikarowe loty z lepszym, zapewne, niż my rezultatem. Nie ze strachem i zawiścią, jak budowniczy Solness, oczekiwać będziemy, czy nie puka już do drzwi pokolenie następne, lecz, jak Guyau, z rozrzewnieniem i miłością wsłuchiwać się będziemy „w ten szmer małych nóżek dziecięcych, szmer lekki i łagodny zbliżających się pokoleń, niewyraźny i niepewny, jak przyszłość, o której my jednak rozstrzygnąć możemy przez umiejętne wychowanie młodzieży."

Przy takiem pojmowaniu sprawy zadanie wychowawcy, na pozór bardzo proste, stało się nadzwyczaj trudnem. Wymaga się od niego teraz nietylko fachowych wiadomości, lecz i dużej inteligencyi, bystrej intuicyi, nieposzlakowanego charakteru, a nadewszystko gorącego umiłowania swej pracy i tych dusz młodych, które pieczy jego powierzono.

A kara?

Gdzie wobec takich poglądów na wychowanie podziały się tak niezbędne niegdyś środki pedagogiczne jak rózga i koza? Zginęły i ulotniły się doszczętnie.

Bo za cóż mamy karać dziecko? Czy za to, że jest sobą, że jest dzieckiem? Czy za to, że drogą dziedziczności dostały mu się po przodkach różne wady i nałogi? Może za to, że patrząc wciąż na obłudę i kłamstwo, nie odczuwa samo potrzeby mówienia prawdy? Albo też za to, że my, nie znając praw fizyologii, przeciążamy umysł jego pracą? Czy za to wreszcie, że wykłady nasze są takie nudne?

W miarę tego, jak rozprasza się mgła przesądów, coraz mniejsza odpowiedzialność za grzechy i wady dzieci spada na nie same, a coraz większa na rodziców i wychowawców. Rozumiał to już dobrze Pestalozzi. Jeśli dziecko nie uważa lub nie okazuje wcale zainteresowania się lekcyą, to za każdym razem nauczyciel powinien przedewszystkiem poszukać przyczyny w sobie samym. „Prowadząc klasę chłopców 10—16 letnich — pisze Quick — widziałem nieraz, że lekcya nie szła, jak należy. Wówczas zwierzałem się z mej troski uczniom; mówiłem im, że zapewne czuli, podobnie, jak ja, że lekcya była nieco nudna, i prosiłem, żeby każdy napisał na świstku papieru, co uważa za przyczynę tego i jaki wskazać może na to środek. W ten sposób otrzymywałem niejedną cenną wskazówkę." „Ogrodnik nie bije kwiatów, jeśli krzywo rosną — powiada Adrzej Niemojewski — ale przesadza je, podpiera, bada glebę i usuwa pierwiastki szkodliwe. A dziecko to kwiat, którego najpiękniejszą wonią jest ambicya. Powiadacie: co zrobić z dziećmi, które np. pisklętom wydziobują oczy i skręcają główki? Odpowiedź nasza prosta: dać im innych rodziców... Nie można? To dać im nauczycieli... Nie wystarcza? To dać nauczycieli ich rodzicom...."

Oczywiście, powinno się nieraz—jak chce Spencer — dać dzieciom odczuć naturalne następstwa ich postępowania. Można pozwo-

lic dziecku się oparzyć, by się nauczyło nie ruszać lampy. Ale nie ma to z karą nic wspólnego. Kara tylko demoralizuje dzieci. Budzi w nich złe instynkty, mściwość i chęć zemsty, daje im poczuć przemoc silniejszego, a obawa kary staje się tylko pobudką do obłudy, kłamstwa i przebiegłych wykrętów. Zwłaszcza kara cielesna zabija w dziecku poczucie honoru i ambicyi. Wystarcza niekiedy jednorazowego shańbienia chłostą, by spaczyć charakter dziecka całkowicie i zepsuć je ostatecznie. „Chłosta — mówi Ellen Key — robi tchórza jeszcze tchórzliwszym, upartego jeszcze bardziej upartym, krnąbrnego jeszcze krnąbrniejszym."

I medycyna wreszcie ma coś do powiedzenia na ten temat. Kara cielesna, według jej świadectwa, wywołuje przedczesne podrażnienia, a niekiedy i zboczenia płciowe. Przez te właśnie, towarzyszące biczowaniu, wrażenia uboczne miał flagellantyzm w wiekach średnich tylu zwolenników.

Nawet przeciwko tak niewinnej i „poczciwej" karze, jaką jest koza, protestują nauki lekarskie. Bo prócz ujemnego wpływu, jaki brak ruchu i powietrza wywiera na zdrowie, zamknięcie i odosobnienie dziecka na kilka godzin jest jeszcze z innych względów szkodliwe, prowadzi mianowicie prawie zawsze do samogwałtu.

Kara jest takiem uproszczeniem pracy w wychowaniu, które dowodzi niechybnie nieudolności wychowawcy. Łatwiej jest wybić dziecko, niż mu wytłomaczyć, że czegoś robić nie powinno; łatwiej jest karać, niż przetopić charakter, niż wyżłobić inne koryto dla złych instynktów, lub wyhodować, jako przeciwwagę dla nich, nowe lepsze popędy.

* * *

Echa tych nowinek pedagogicznych rozbrzmiały szeroko po świecie od tundr syberyjskich aż do piasków Sahary. Zdawało się, że niema już zakątka, do któregoby one nie dotarły. Tymczasem znalazło się miasto w Europie, tak szczelnie od świata zabite deskami, tak zazdrośnie strzegące przesądów tradycyjnych, że poczytano je tam za oburzającą herezyę.

W mieście tem kierownik naukowy pewnej szkoły oświadczył publicznie, że wychowanie bez kar i rygoru jest frazesem; prezes zarządu tej samej szkoły pochwalił się, że sam skazał swoich malców na kozę; ktoś inny dowodził, że kary muszą istnieć, ponieważ... istnieją w innych szkołach, i że dzieci rodziców biednych karać trzeba koniecznie; ktoś czwarty wyjaśnił, że ponieważ i nas bili, a jednak... itd., niema więc powodu odstępować od uświęconego zwyczaju.

Takich parę kwiatów pedagogicznych warto zasuszyć na pokaz dla przyszłości.

A działo się to w środkowej Europie w „polskim Manchesterze," na początku stulecia które jakiejś egzaltowanej Szwedce podobało się nazwać „Stuleciem dziecka."

Dr. Mieczysław Kaufman.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Pytanie.

Cudzoziemiec, który, zatrzymawszy się przed księgarnią Dembego, spostrzegłby całe jej okno założone drugiem, okazałem wydaniem polskiego przekładu *Antropologii* Tylora (za 2 ruble!), innemi dziełami tego badacza w oryginałach, pięknym jego portretem fotograficznym, wykonanym w Warszawie — byłby bardzo zdumiony i pomyślałby: Ależ ci Polacy zajmują się chyba nadzwyczajnie literaturą naukową! I rzeczywiście, jest to widok, upoważniający do podobnego wniosku. Bo pomimo zasłużonej i szerokiej sławy, jakiej używa Tylor, wątpimy, czy jakikolwiek księgarz zagraniczny, nawet w stolicy najbardziej oświeconego narodu, uznałby za właściwe poświęcić mu całą szybę wystawową i przypuszczał, że zainteresuje przechodniów jego osobą i pracami. Niedość na tem. Gdybyśmy owemu cudzoziemcowi powiedzieli, że pierwsze wydanie *Antropologii* rozeszło się u nas w ciągu kilku miesięcy, że nakłady całego szeregu tłomaczeń dzieł poważnych wyczerpały się również szybko, nie potrzebowałby on wymowniejszych dowodów wysokiego poziomu naszej umysłowości. A jednakże są to tylko złudne pozory.

Niedawno siedziałem przez parę godzin w wagonie z szanownym redaktorem *Poradnika dla samouków*, człowiekiem, który może najmocniej odczuwa niedolę naszego piśmiennictwa naukowego i który najdowodniej je nam unaocznił— cyfrowo i graficznie. Naturalnie rozmawialiśmy o tej smutnej sprawie, która jest najdokuczliwszą zmorą jego myśli.

— Niepodobna przypatrywać się bezczynnie naszej nędzy umysłowej — mówił on z zapałem. Wiedza pędzi szybko, a my nie chwytamy nawet tych jej fal, które dawno odpłynęły. Prace pomnikowe, klasyczne, kodeksy nauki, bez których nie może się obyć żaden ucywilizowany naród, stoją ciągle po za naszą literaturą. Za 50 lat wyschnie z niej całkiem to źródło i młodzież kształcąca się będzie musiała wyłącznie czerpać z obcych. Wygląda to na żart, a jednak jest faktem, że tylko wydawnictwa *Przeglądu Tygodniowego*, potem *Prawdy* i *Głosu* odbiły się wyraźnym wzrostem ruchu naukowego w statystyce ostatniego trzydziestolecia. Czyż przedsięwzięcia paru redakcyj mogą wystarczyć ogromnym potrzebom umysłowym? Ale co robić? Czem zapełnić tę coraz bardziej rozszerzającą się pustkę?

Niemoc ratuje się marzeniem. Więc też Michalski, który jest poetą czynu, zaczął roić.

— Gdyby tak się udało zawiązać spółkę z udziałami po 500, 100, wreszcie 50 rubli i zebrać kapitał... Ile? Na początek 10,000 rubli. Nie, mało. Wyszłoby bowiem kilka książek i zanim rozprzedałyby się, trzebaby zatrzymać maszynę wydawniczą i czekać. Ale 40,000 rubli pozwoliłoby już działać bez przerwy. Wtedy utworzyłby się komitet ze specyalistów, którzy wybraliby z każdej gałęzi dzieła najlepsze i do przyswojenia nam najpilniejsze. Bardzo prędko zgromadziłby się śpichlerz naukowy, któryby nas zabezpieczał od głodu i wycieńczenia umysłowego, któryby samoukom i młodzieży kształcącej się pozwolił zdobywać wiedzę ułatwionymi środkami własnej literatury. Ach, jakże pięknych plonów doczekalibyśmy się z tego siewu! 40,000 rubli — to przecież mniej, niż jednodniowy obrót totalizatora, niż rezultat jednowieczorowej gry w klubie. A mogłyby się na tę sumę złożyć wszystkie stany i warstwy społeczne. Bo przecież to nie jest sprawa jakiejś partyi, lecz ogółu. Pomyśleć, że pensya jednej kokoty mogłaby wystarczyć dla pokrycia głównych niedoborów naszego piśmiennictwa naukowego, zasilić je i ożywić!.. Strach! Zbieramy setki tysięcy rubli na szpitale, przytułki, sanatorya... Bezwątpienia, instytucye bardzo pożyteczne. Ale czyż nie pilniejszem jest ratowanie całego społeczeństwa od uwiądu umysłowego? To choroba niebezpieczniejsza i powszechniejsza, niż suchoty. Zdaje się, że gdyby przemówić do serca i rozumu ludzi zamożnych, złożyliby się na kilkadziesiąt tysięcy rubli — prawda?

Nie wiem. Wiem tylko, że u nas jest dość niewielkie koło ludzi średnio zamożnych i niezamożnych, które stanowi „pogotowie ratunkowe" w najpilniejszych potrzebach społecznych. Koło to, składające się przeważnie z nauczycieli i nauczycielek bez lekcyj, adwokatów i lekarzy bez praktyki, inżenierów i techników bez dochodowego stanowiska, literatów bez sławy, kupców bez klienteli, z ubogich studentów, najmitów wszelkiej pracy — jest tak wyzyskane, że ledwie może wyżyć i opędzić się od tych złych psów, którymi los zawsze szczuje biedaków. Wiem dalej, że w naszem mieszczaństwie objawia się nieraz hojność, która jednakże kroczy po gościńcach szerokich i utorowanych. Wiem wreszcie, że nawet śród naszej arystokracyi budzi się czasem wola obywatelska, albo raczej ambicya społeczna, która jednak ma długim snem zaspane oczy i nie widzi tych bolączek, które naprzód usunąć należy. Jeżeli ktoś z tej sfery zechce wyjść po za granice kościelno-szpitalnej filantropii, to albo kupi za kilkanaście tysięcy rubli instrumentów muzycznych, albo da zapomogę teatrzykowi, albo zrobi coś takiego, co poważnemu znawcy potrzeb społecznych nawet nie zaświtałoby w głowie. Czy w takich warunkach ofiarności publicznej można mieć nadzieję zgromadzenia kilkudziesięciu tysięcy rubli na wydawnictwa naukowe — orzec trudno.

A jednakże Michalski ma słuszność, że jest to dla nas kwestya życia i śmierci. Gdybyśmy byli Rumelią, Syamem, Tunisem, wogóle społeczeństwem z niską kulturą i produkcyą umysłową, nędza naukowa nie byłaby dla nas tak groźną, bo pozostawałaby w harmonii z całością rozwoju cywilizacyjnego. Ale my mamy poezyę bogatszą, niż Francuzi, powieść wspanialszą, niż Niemcy, muzykę wyższą, niż Szwedzi, w rzeźbie i malarstwie zajmujemy pierwsze plany sztuki wszechświatowej, nasz przemysł w niektórych odnogach rozrósł się imponująco, a w nauce zaledwie dorównywamy Bulgarom. Wyglądamy jak ptak lśniąco upierzony, unoszący się ciągle w chmurach, z ogromnemi skrzydłami, ale z maleńką główką i ślepy. Nie jest to jakaś ułomność drobna, podrzędna, która da się wyrównać zwiększoną sprawnością innych organów; jest to kalectwo zasadnicze. Społeczeństwo, które ma Mickiewicza, Chopina, Matejkę, a nie ma podręczników astronomii, krystalografii, mechaniki, historyi filozofii itd. — przedstawia jakiś dziwotwór. Występuje ono na arenę świata niby murzyn w cylindrze, płaszczu aksamitnym, z wielkimi brylantami w nosie — i boso. Naród musi całą swą masą, a przynajmniej całą swą oświeconą warstwą pracować nad uprawą swej wiedzy, strzedz, ażeby żadne jej pole nie zachwaszczało się i nie ugorowało, ażeby wszystkie utrzymywały się w ciągłej płodności. Niezbędne tu są starania zbiorowe, szerokie, systematyczne i nieprzerwane. Tymczasem u nas załatwia się to bezplanową improwizacyą, jednostkowymi wyskokami. Jakiś księgarz wyda w celach spekulacyi dzieło, które narobiło wrzawy; jakaś redakcya wyda inne, które według niej jest najpotrzebniejszem; jakieś gronko młodzieży wyda inne, które odpowiada jej upodobaniom. W ten sposób bogaci się nasza literatura naukowa zasiłkami zewnętrznymi. Czy z tego wszystkiego może wyrość wielki pożytek? Czy takie dorywcze, odosobnione, od jednostkowych gustów i rachub zależne porywy mogą dać społeczeństwu potrzebną sumę wiedzy? Kitując szpary, łatając dziury, podpierając pochylenia i patrząc w garść pszczół pracowitych, które z obcych kwiatów naznosiły miodu do rodzinnego ula, łudzimy się pozorami naszej naukowości. Ale gdy ktoś, jak redakcya *Poradnika*, ujmie ją w cyfry i wykazy — włosy z przerażenia wstają na głowie. Z tej strony właśnie rodzi się pyta-

nie: czy u nas możnaby zebrać kilkadziesiąt tysięcy rubli na wydawnictwa naukowe?

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

Nowe teorye renty w ekonomii społecznej.

Marshal: On rent. — Smart.

Własności ziemskiej zarzucano zwykle, iż zagarniała zawsze dochód specyalny, rentę, pochodzącą z warunków wyjątkowych położenia lub urodzajności. Niektórzy ekonomiści wskazywali wprawdzie, iż przemysł również bywa często w warunkach, dających zyski wyjątkowe, rentę. Różnica jednak zasadnicza pomiędzy przemysłem a rolnictwem miała polegać na tem, że w pierwszym wolna konkurencya rozpowszechnia szybko dogodności specyalne na wszystkich przemysłowców, przez co renta nadzwyczajna znikła, natomiast dogodności, płynące z gleby bardziej urodzajnej lub z właściwości klimatu, nie mogą być dowolnie rozpowszechniane. Renta przemysłowa, jeżeli nawet istnieje, nosi więc charakter czysto przejściowy, gdy renta ziemska jest stała, jako związana ściśle z właściwościami gleby.

Przypatrzmy się bliżej tej argumentacyi. Jeżeli fabryka leży w pobliżu kolei żelaznej lub spadku wody, co pozwala jej zniżyć cenę wytworów i poderwać swych współzawodników, ci ostatni nie są, oczywiście, w stanie korzystać z wymienionych dogodności. To samo powiedzieć można, jeżeli wyższość pewnej fabrykacyi należy do charakteru rasowego ludności miejscowej, a jest niepraktycznem przenosić ludność tę na inne miejsce. Podobnie niema dość ubogiej gleby, którejby nie można było przy odpowiednim nakładzie uczynić urodzajną, choć to nie warto zachodów. Dalej, ze stanowiska trwania życia ludzkiego, dogodności fabryki, położonej w pobliżu dworca kolei lub spadku wody, mogą także być uważane za *stałe*: praktycznie jest to trwałość nie mniej znaczna, niż wyższej urodzajności danej gleby. Wreszcie nowe odkrycia ekonomiczne, wynalazek mechaniczny, nowa roślina, przywieziona skądinąd, może uczynić, iż dana gleba traci swą stosunkową wyższość. Gleby nader kosztowne, przed najściem filoksery, obecnie straciły swą wartość, jeżeli winne grona nie mogą na nich rozwijać się zdrowo.

Nietylko więc o kapitałach rzec można, że są „moralnie zużyte,“ dzięki nowym odkryciom, gdyż te ostatnie zużywają tak samo i ziemię, to jest prowadzą do zaniku jej wartość.

Inna często wysuwana różnica pomiędzy kapitałem a ziemią, polegająca wrzekomo na tem, iż renta ziemska wzrasta, kiedy dochód z kapitału spada, nie ma także znaczenia. W wielu okolicach Francyi i Europy wogóle gleby chlebodajne straciły trzy czwarte wartości, dzięki współzawodnictwu zboża amerykańskiego; wzrost płacy roboczej na wsi zniweczył do reszty rentę ziemską. Jeżeli dochód z kapitału spada, to toż samo powiedzieć można i o dochodzie z ziemi. Jeżeli właściciel ziemski korzysta często, bez wielkiej pracy, jedynie dzięki postępowi społecznemu, ze wzrostu wartości ziemi, to często zdarza się także zjawisko odwrotne — *anti-renty* — gdy społeczeństwo zmniejsza pośrednio dawny dochód właściciela ziemskiego, jeżeli ludność kraju zmniejsza się.

Akcye Suezu kosztowały w r. 1859 tylko po 250 fr. Dziś każda z nich ma wartości 3,550 fr. Nie sposób usprawiedliwić tego zysku akcyonaryuszów, jeżeli uważamy za niesłuszną rentę, którą otrzymują właściciele ziemscy: mogli oni zakupić ziemię po cenie nader nizkiej, a dzięki wzrostowi zaludnienia, wzbogaceniu kraju, nowym kolejom żelaznym lub ulepszonym środkom kultury, ziemia ta mogła nabyć niesłychanie wysokiej wartości. To też znany ekonomista angielski, Marshall, uważa rentę ziemską jedynie za rodzaj nader rozległego rzędu zjawisk. Wszędzie, gdzie istnieje podaż niedostateczna jakiego czynnika wytwórczego, który odznacza się niejednakowemi właściwościami co do jakości, i gdy popyt na ten czynnik nie może być zaspokojony masą istniejącą danego czynnika, wytwarza się renta. Wartość produktu ustanawia się, biorąc w rachubę najmniej dogodne warunki, w których wytwarzanie musi się jeszcze odbywać, by zadość uczynić niezbędnej potrzebie.

Przypuśćmy, że cena zboża, wytwarzanego na glebie najgorszej, wynosi 40 szylingów: przedstawiać ona będzie, w porównaniu z ceną wytwarzania zboża na ziemiach urodzajniejszych, pewien dość znaczny nadmiar, stanowiący rentę. Istnieje określony popyt na zboże i jeżeli on pokryty zostaje przez podaż, przy cenie 40 szyl., to doskonale. Jeżeli jednak popyt przewyższa podaż i nie sposób dobyć więcej pszenicy, nie zwiększając wydatków na ziemiach gorszych, to cena musi wzrastać dla pokrycia tych wydatków. Jednocześnie wzrasta cena nietylko tej ostatniej pszenicy, lecz pszenicy wogóle, gdyż nie może ona mieć na tym samym rynku dwóch cen rozmaitych. I w tym wypadku pierwsza pszenica, której uprawa kosztowała mniej, otrzymywać będzie pewien nadmiar, nastąpi wzrost renty niezależnie od tego, kto ją zabierać będzie. Może ona na czas pewien przechodzić w ręce farmera lub nawet pracownika rolnego, ale ponieważ natychmiast odbędzie się nowa podaż kapitału i pracy ku tej zyskowniejszej produkcyi, poziom płacy roboczej i dochodu spadnie i renta w końcu przejdzie w ręce właściciela tego czynnika, którego podaż nie może być zwiększoną — właściciela ziemi.

Weźmy teraz inny wypadek. Przypuśćmy, iż sześć fabryk rządzi rynkiem w jakiejkolwiek gałęzi przemysłu i że wszystkie ich wytwory są spożywane. Przypuśćmy dalej, iż dzięki postępowi techniki, fabryka, wybudowana później od innych, pracuje taniej, i że istnieje ustopniowanie w kosztach wytwarzania tych fabryk od pierwszej A do szóstej F. Koszty wytwarzania pierwszej fabryki A, najstarszej i czyniącej najwięcej wydatków, ustanawiać będą cenę wszystkich wogóle wytworów. Fabryka A pokrywa tylko wydatki (płacę roboczą, dochód od kapitału i zysk przedsiebiorcy), gdy wszystkie pozostałe fabryki zdobywać będą nadmiar, który rosnąć będzie od B do F.

Jeżeli następnie wybudowaną będzie nowa fabryka G., to chwilowo będziemy mieli podaż nadmierną, która zniży cenę. Przy tej nowej cenie fabryka A wypada za nawias, nie potrafi opłacać ani płacy roboczej, ani dochodu od kapitału i zmuszoną będzie zaprzestać wytwarzania. Cena wytworów znów ustanawiać się będzie według kosztów wytwarzania fabryki, pracującej w warunkach najgorszych, której wytwory są jednak jeszcze potrzebne dla pokrycia istniejącego popytu; lecz teraz tą fabryką krańcową będzie już B. I przy nowych kosztach wytwarzania fabryki C, D, E, F, G dawać będą rentę, tj. dochód różniczkowy.

Marshall rozwija w dalszym ciągu tę teoryę w sposób następujący: bierze ilość jakąkolwiek danego towaru i przypuszcza, że popyt nań wzrósł odrazu. Jeżeli zapas tego towaru nie może szybko zwiększyć się, to cena jego oczywiście podniesie się, i właściciele istniejącej ilości otrzymają przyrost takiego samego pochodzenia, co i renta, mający jednak charakter tylko czasowy, i dlatego Marshall nazywa go *quasi-rent*, tj. pseudo-rentą. Jeżeli popyt rośnie w dalszym ciągu i należy się zwrócić do czynników wytwarzania — pracy, kapitału, ziemi — dla wyrobu nowych wytworów tego samego rodzaju, które jeszcze nie są gotowe, to nadmiar ceny, stanowiący pseudo-rentę, może oczywiście przenieść się i na te czynniki.

Jeżeli jednak popyt wciąż rośnie, a wraz z nim i ilość czynników wytwarzania, przyciąganych, dzięki nadzwyczajnemu wynagrodzeniu, z innych gałęzi produkcyi, to z czasem ilość wytworów tak wzrośnie, iż „pseudo-renta“ zniknie. Jeżeli jednak ilość czynników wytwarzania nie może się zwiększać, to ustanawiać się będzie, jak dla produktów rolnych: według kosztów wytwarzania tej części, gdzie one są największe, o ile jednak jest ona jeszcze niezbędną dla pokrycia popytu. W fabryce, wytwarzającej tę część towarów, fabryce, którą nazwać można „krańcową,“ cena pokrywać będzie tylko koszty; pozostałe dawać będą rentę.

Renta ziemska jest, według Ricarda, rezultatem skąpstwa przyrody, która nie dała nam ziem lepszych w ilości nieograniczonej. To samo powiedzieć można o wszelkich innych czynnikach wytwarzania. W jednym i drugim wypadku renta zanika, jeżeli ilość czynników danego rodzaju może być dowolnie zwiększona.

A zatem istnieje jeden tylko środek zniesienia renty: wykrycie tajemnic przyrody i uczynienie każdego czynnika wytwarzania podobnym do maszyny, mogącej dawać produkty w ilości nieograniczonej, jednakowego wzoru i jednakowej wartości. Według Pattena, renta może być ograniczoną, jeżeli popyt zwróci się do zasiewów mniej wyczerpujących glebę (wówczas nie należy schodzić ku gorszym jej gatunkom), a także drogą zastosowania metod naukowych uprawy, pozwalających wyrównywać istniejące różnice i braki.

Jeżeli wreszcie renta ziemska zmienioną być nie może, to można ją przenieść w ręce państwa, drogą uspołecznienia gleby, według znanych projektów Milla, Georgia, Walrasa i innych. Co się tyczy renty od kapitałów ruchomych, pozostających w warunkach wyjątkowo dogodnych, i z zarobków, płynących z prac wyjątkowo rzadkich, wymagających szczególnego talentu, to renta w tych wypadkach mogłaby co najwyżej być dotkniętą za pomocą podatku postępowego.

W miarę jak żywność i bogactwa mineralne, dzięki nowym drogom komunikacyi, stają się coraz dostępniejsze, ziemia staje się w ewolucyi ekonomicznej tylko specyalną formą kapitału. Renta więc, o ile istnieje, nosi we wszystkich czynnikach produkcyi coraz bardziej zbliżony charakter. Zresztą ekonomiści współcześni roztaczają pojęcie renty nietylko na wytwarzanie, ale także i na spożycie.

Tak np. Marshall rozważa rentę spożywcy w sposób następujący: różnica pomiędzy ceną indywidualną, którą spożywca, kierowany jedynie potrzebą osobistą, wolałby zapłacić, niż wyrzec się pewnego dobra, a tą ceną (daleko mniejszą), którą on w rzeczywistości płaci, dzięki dogodnym warunkom środowiska społecznego, stanowi rentę spożywcy. Niejeden gotów byłby zapłacić, kierując się jedynie własnym smakiem, 20 fr. za dany przedmiot, który na rynku otrzymuje za 15 fr. Zyskuje więc 5 fr. renty, jako spożywca. Rentę tę można zresztą rozważyć w inny jeszcze sposób, ze stanowiska użyteczności, a mianowicie: spoży-

wając pewne dobro, możemy zauważyć, iż dostarczana nam przez nie przyjemność i korzyść spada w natężeniu z biegiem spożycia, inaczej mówiąc, że pierwsze części danego dobra dostarczają nam większej użyteczności, niż ostatnie. Różnica stanowić ma resztę spożywcy. Istotnie, człowieka można rozważać jako stronicę natury, jako kopalnię lub pole: wydajność tych ostatnich, jak wiadomo, zmniejsza się w miarę, jak poczyniwszy pierwsze zbiory, przechodzimy powoli do następnych; stąd renta, dostarczana przez pierwsze pokłady węgla lub pierwsze zbiory zasiewów. Podobnie wrażliwość nasza przytępia się w miarę spożycia każdego dobra: początkowo więc dostarcza nam ona rentę pewnego rodzaju.)

Dr. L. Winiarski.

LITERATURA I SZTUKA.

POEZYA I RYMY.

Andrzej Niemojewski: *Rokita*. Poemat dramatyczny. Kraków, 1901.

Rokita, syn Szatana i latawicy, uczuwa w państwie mroków tęsknotę do światła. Matka, zniewolona jego błaganiem, wyprowadza go na ziemię. Tu, na widok pierwszego, bólu drgnęła w nim litość. Czerpie wiedzę w murach Akademii krakowskiej (w czasach, kiedy mistrz Twardowski podług legendy wykładał czarną magię) i wreszcie, jako bakałarz, osiada w Karpatach, by wieść dzieci chłopskie w świat nowego szczęścia. Staje się dobroczyńcą nietylko dzieci, lecz i dorosłych. Ale z czasem następuje nieuchronne starcie z kościołem i jego etyką—tej sankcyi Rokita, ze względu na swe pochodzenie, mieć przecie nie może. Przeciwieństwa stają się jaskrawsze i coraz widoczniejsze, miejsce wdzięczności zajmuje nienawiść. Podburzony tłum rzuca się na szkołę i pozostawia jeno zgliszcza z przybytku światła. Rokita złamany spada w otchłań, lecz dźwiga się znów z zapowiedzią: „Ja wciąż będę wracał..."

Rokita to upostaciowanie nieśmiertelnej a wolnej myśli ludzkiej, niecierpliwie wstrząsającej ciężarem, który przodkowie wkładają swym następcom, myśli, ogrzanej namiętną miłością ku wszystkiemu, co jest słońcem, jasnością, życiem; myśli, tak rodzajnej, iż musi rozlewać się szeroko, niszczyć wokoło mroki i cierpienia, stwarzać wiosnę. Niewiem, czy takim ściśle był Rokita w zamiarze twórczym autora, ale jest takim w naszem wrażeniu. Autor podejmuje tu odwieczny temat prometeiczny, ale ubiera go w pewne szczególne, realne, realistyczne niemal kształty, i w ten sposób ukazuje go nam z odmiennej strony. Nie stają do walki uosobienia najwyższych abstrakcyj bezwzględnego zła i dobra, lecz zwykłe namiętności i namiętnostki ludzkie, gdzie mieszają się chaotycznie ujemne i dodatnie strony życia, postęp, konieczność życiowa i złudzenia dobrej woli. Głównym wrogiem Rokity jest kościelny dygnitarz wioskowy, organista Włodek. Nurtuje go zawiść, — wszak to on przed ukazaniem się mistrza krakowskiego był przewodnikiem pacholąt. Śledzi nieufnie zachowanie się i słowa Rokity, i wreszcie: *Eureka!* Przez usta przybysza nieprzejdzie słowo: Bóg. Z mściwą radością wygraża: „mamy, mamy waści." Zdobył punkt, z którego zaatakuje nienawistnego bakałarza — w imię ideału. Oto jest ideowość ludzka!

Włodek atoli obudził jeno czujność swej społeczności, której prawa Rokita istotnie łamał. Jego ślub z Krzysią był wprawdzie uświęcony przez naturę, ale to zamało. Gdy jego gorące słowa w chwili niebezpieczeństwa poczęły już oddziaływać na słuchaczy, staje przy nim Krzysia, chcąc mu dodać otuchy. Całuje ją. Jawny bezwstyd! Zgorszenie!

Prometeiczny zakrój poematu, podnosi nasze wymaganie. I o ile rozmach poetycki wprowadza do utworu górne tchnienia, o tyle znowu w zbyt napiętych oczekiwaniach czytelnika tkwi dla poety niebezpieczeństwo, którego ten całkowicie nie uniknął. Jest też do pewnego stopnia szkopułem wprowadzenie w ruch żywiołów fantastycznych pospołu z realnemi. Od pierwszych będziemy wymagali potęgi; od drugich — ściślejszego zastosowania się do praw, rządzących ziemią. A tymczasem w utworze grają namiętności ludzkie, lecz przybory zewnętrzne są konwencyonalne. Do jakiego czasu autor nas przenosi? Do wieku XVI? Kiedyż to polska wieś chłopska tak wyglądała, jak w „Rokicie?" To raczej jakieś zbiorowisko ludzkie z „Hermana i Doroty." Autorowi zresztą najmniej chyba chodziło o historyczność, więc my też nie zatrzymamy się dłużej. Nie będę również przesądzał, o ile Rokita jest poganinem-humanistą, bo i to niewiele nas obchodzi.

Zwróćmy teraz uwagę na drugi pierwiastek składowy. W traktowaniu świata nadzmysłowego autor nie wykazał ani dość lotności, ani siły. Osłabia to, bez wątpienia, wrażenie odpowiednich ustępów, równoważy się wszelako do pewnego stopnia tem, iż cała nasza uwaga skupiona jest na Rokicie, którego żądania i upadek nabierają z tego powodu więcej znamion ludzkich. Oddalamy od siebie pokusę tłomaczenia wszelkich szczegółów symbolicznie, bo też to najłatwiej na manowce wprowadza. Dlaczego np. Rokita jest synem „Złego" (kudłate dyablisko, przykute na łańcuchu u pieczary piekielnej) i latawicy? Dość, że nam to poddaje naturę Rokity, jako „wzlatacza" i... wroga powag. Pozwólmy fantazyi być fantazyą bez gorliwego poszukiwania dla każdego jej ruchu odpowiednika w świecie stosunków ludzkich i właściwej ludziom logiki. Nietylko okoliczności, związane z urodzeniem Rokity, z jego popędami nieszatańskimi uznajemy za fakt ostateczny, lecz wogóle całe piekło w utworze Niemojewskiego musimy traktować tradycyjnie, jako pewien szereg obrazów i pojęć, z którymi wyobraźnia nasza oddawna się spoufaliła. Bo inaczej perspektywa myślowa utworu stanie się nieco mętną, niewyraźne będzie „zło" samo w sobie. Ów „Zły," któregośmy już oglądali, jeżeli nie jest władcą piekieł, to przynajmniej jednym z najpotężniejszych wasalów państwa ciemności, przed którego gniewem pierzcha w popłochu rój pospolitych dyabłów. Strącony z wyżyn przez Przedwiecznego i stygmatem potępienia naznaczony, sam siebie, jak się zdaje, więzi na łańcuchu, sam siebie obezwładnia, skazuje na mrok, wyzbywa się pamięci o świecie, w którym panuje światło, w którym istnieje wola, pożądanie i walka. Jest z góry przeświadczony, że każdy wysiłek musi skończyć się porażką, że odwiecznych wyroków przeznaczenia („początków!" jak mówi autor) żadne spotęgowanie uczucia nie odwróci. Zarówno „Zły," jak i Nija, pragną uchronić swe dziecię od próżnych doświadczeń. Jest niewątpliwie w tem wszystkiem pewne „złudzenie" piekła, mimo to stać musimy na tradycyjnym gruncie, w przeciwnym bowiem razie musielibyśmy zapytać, jakie są lub mogły być dążenia „Złego," więc i jak nazwać potęgę, która go w otchłań strąciła. „Tu zimny rozum włada," a przecież mroki wołają „rata," dowiadując się, iż Rokita *myśl* niecił. Z bezwzględną abnegacyą „Złego" staje w sprzeczności nazbyt ludzkie uczucie, namiętne ukochanie swego płodu, więc znowu nie zimny rozum. Ale powtarzam, pozwólmy fantazyi być sobą. Czereda dyablików pomniejszych i kusicieli pełni czynność złośliwych siepaczów, nic nadto, gdy tymczasem dla „Złego" cudze cierpienie jest rzeczą prawie obojętną.

To co powstaje przeciw ustalonym potęgom, zawsze jest w obliczu tych potęg „złem," jest przez nie tak *przezwane*, jak mówi Lucyper u Byrona, Masynissa u Krasińskiego. I przeciwnie, „dobrzy" i „sprawiedliwi," według Nietzschego, to ci, co głoszą: „Już wszystko znaleziono i stworzono. I dobrze jest. Ukrzyżuj, ukrzyżuj go! On mówi o rzeczach nowych." Bo „cnotliwy" staje zawsze w obronie tego, *co już jest*. Tego filozoficzno-prometeicznego pierwiastku dopatrzeć się możemy jedynie w dążnościach Rokity, a okoliczność ta znowu każe namześrodkować uwagę na jego postaci wyłącznie.

Jeśli Rokita niezawsze utrzymuje się na wyżynach syntezy filozoficznej, zato w jego ludzkich dziejach są momenty prawdziwie wstrząsające. A bezwzględna prawda nie jest po jego stronie. Ten, którego imienia wymówić nie chce, to przecież obrońca i pocieszyciel wszystkich krwawiących się serc. W mury Jego świątyni wchodzi Franio, najulubieńszy uczeń Rokity i najlotniejszy duch, przez niego obudzony. Gdy syn Nii poraz pierwszy ukazał się na ziemi, usłyszał lament, ujrzał trupy dwu sierot, które macocha wygnała z chaty, a woda do snu wiecznego ukołysała. „Gdybym tam był — woła Rokita — ach, gdybym szedł w ziemi obwody, możeby tam sieroty nie biegły do wody po wybawienie." A Krzysia? Toż jej los... A ból jej matki, jej ojca, gdy widzą swe dziecię zhańbione i przez gromadę swą odtrącone? Prawa ziemi zemściły się... Tak, dobry był posiew Rokity, ale przyszła chwila, kiedy musiał albo zmaleć i zaprzeć się swego działa, — wtedy miałby sławę i wdzięczność, — albo idąc swą drogą, zdeptać serce, które mu pod stopy legło i... upaść. Mistrzu Henryku! Nie widzisz, jak się wspinają do ciebie twe sieroty z dzbanem, pełnym łez ich matki? Nie słyszysz głosu dzwonu zatopionego?

. . . .

Czy to są wszystko rzeczy, należące jedynie do dziedziny „poematów dramatycznych?" Czy nigdy w rzeczywistości nasze własne dzieło przeciw nam się nie zwraca? Czyśmy nigdy nie stawali na tej magicznej linii, do której nas słuchać chcieli i... mogli? Skądś jakieś echo płynie... To głos Rokity: „Ja wciąż będę wracał...."

A. Drogoszewski.

O prawdę.

Szanowny Panie Redaktorze!

Przypuszczam, że sprawa, którą poruszam poniżej, nie jest jeszcze przestarzałą ze względu na swoje znaczenie, ciągle powtarzanych skarg na wydawców, śmiem przeto prosić Sz. Pana Redaktora o pomieszczenie mojej uwagi w *Prawdzie*, w tem mniemaniu, że... się może na coś przyda.

Autor artykuliku, pomieszczonego w nr. 32 *Prawdy*, w „Pamiętniku," p. t. „O korektę," przyznaje słuszność skardze p. Żuławskiego na niedbałą korektę jego pracy p. t. „Benedykt Spinoza," która „roi się od najgrubszych błędów drukarskich, przekręcane są nazwiska, tytuły i terminy filozoficzne, a nieraz i całe zdania, tak że sam autor nie mógł ich zrozumieć bez porównania z rękopisem," a wszystko to dlatego, że autorowi nie posłano korekty. Na-

stępnie p. K. Kr. boleje nad tem, że firmy wydawnicze nie mają „specyalnych, umiejętnych a odpowiedzialnych korektorów." W jednym i drugim razie p. K. Kr. ma zupełną słuszność po stronie swoich wymagań, a mianowicie: że korekta powinna być posyłana autorowi, oraz że firmy wydawnicze powinny mieć wykwalifikowanych korektorów. Zważywszy jednak rzecz ze stanowiska naszych stosunków wydawniczych, pierwszy warunek da się uskutecznić w tym wypadku, jeżeli wydawca posiada adres autora, który często mieszka po za Warszawą, lub też jeżeli autor, otrzymując korektę, nie traktuje sprawy ozięble i zwraca ją wkrótce po otrzymaniu, co, niestety, odkłada się na później, tak że dzieło wypadałoby drukować co najmniej tyle tygodni, z ilu arkuszy się składa. Z konieczności więc musi robić korektę kto inny. Drugi warunek jest daleko trudniejszy do wykonania, rzecz prosta dlatego, że firmy, wydające zaledwie kilka dzieł rocznie, nie mogą, bo nie mają za co, trzymać „specyalnych, umiejętnych a odpowiedzialnych korektorów." Z tego, co powyżej, wypadałoby, że wydawca nie powinien kupować nieczytelnych rękopisów i, co za tem idzie — wydawać książek. Szan. autor artykułu najwidoczniej pod wrażeniem osobistego żalu za wyrządzone mu tego rodzaju krzywdy przyznaje, że „od czasu do czasu daje się słyszeć utyskiwanie, że autor pisze niewyraźnie, lecz od autorów nie można wymagać, aby brali lekcye kaligrafii, a na maszyny do pisania, choćby chcieli, nie stać ich." A więc?... *hier ist der Hund begraben!*.. Jeżeli autorowie piszą niewyraźnie, to nie można od nich wymagać, aby się uczyli kaligrafii, lecz natomiast należy żądać od tych, którzy pośrednio przenoszą ich myśli do czytającego ogółu, tj. zecerów i korektorów, aby się uczyli filozofii, chemii, astronomii, wszech nauk i języków, by nieświadomie nie przekręcali terminów specyalnych, nazwisk i wyrazów, których często nikt prócz autora odczytać nie może, lub co gorzej, których czasem wcale niema w niedbałym rękopisie. Czy tak?!.. Otóż ja bym sądził, że reformę należałoby rozpocząć od podstaw, od materyału, z jakiego się coś tworzy (w znaczeniu technicznem), to i uwieńczenie dzieła byłoby niezawodne. Szczycilibyśmy się tem, że nietylko „poważne pisma zagraniczne wychodzą bez błędów „drukarskich," lecz że i my umiemy przygotować rękopisy do druku na sposób zagraniczny — wyraźne, czytelne i starannie przez autora przejrzane. A gdybyśmy nawet zechcieli, to i na kupno maszyn do pisania znaleźlibyśmy sposób, wszak postęp wytworzył maszynę, która przychodzi zawsze z pomocą nieudolności, nie powinni nią więc gardzić... niewyraźnie piszący. Wówczas korektor „uszanowałby myśl wyrażoną w druku na użytek ogółu," bo odczytałby ją wyraźnie, mniejsza o to, czy zrozumiałe.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku i poważania

Ex-wydawca.

WIADOMOŚCI URZĘDOWE.

O nieporządkach częstochowskich *Warsz. Dniewnik* z dn. 14 b. m. zamieszcza, co następuje:

„Dnia 11-go b. m. w m. Częstochowie wynikły uliczne nieporządki, wywołane okolicznościami następującemi: Dnia tego zrana na Starym Targu, pomiędzy włościanką miejscową a żydem-handlarzem przy kupnie owoców nastąpiła kłótnia, która się zamieniła wkrótce w bójkę, przyczem wspomnianą włościankę powalili na ziemię i pobili nadbiegli żydzi. Policya bójkę powstrzymała, i poszkodowaną włościankę umieszczono w szpitalu miejscowym. Wieść o tem zajściu, w formie przesadzonej i przekręconej, obiegła wkrótce dzielnice miasta, zamieszkane przez ludność roboczą i o godzinie 12-ej w południe tłum, złożony przeważnie z rzemieślników i powracających od zajęć robotników fabrycznych, w różnych punktach miasta zaczął rozbijać i niszczyć sklepy i domy żydowskie, dopuszczając się w kilku wypadkach nawet rabunku. Środki policyjne, przedsięwzięte ku stłumieniu nieporządków, okazały się niewystarczającymi, i do pomocy wezwano niewielkie oddziały, pozostałe w mieście, wojska załogi częstochowskiej, która wyszła na manewry. Jeden z takich oddziałów, liczący 30 szeregowców, który zastał około godziny 8-ej wieczorem tłum przy rabowaniu sklepu z towarami korzennymi, przyjęto krzykami i wymysłami. Na wezwanie do rozejścia się, tłum wywołujący nieporządki, dochodzący do 500 ludzi, stawił opór i zaczął rzucać na żołnierzy kamieniami i odłamkami cegły. Wobec tego, naczelnik oddziału, po stosownem uprzedzeniu, zmuszony był użyć broni palnej, przyczem wystrzałami zabito 2 ludzi i 6 raniono.

Do godz. 10-ej wieczorem tegoż dnia, nieporządki ostatecznie powstrzymano i więcej się nie wznowiły."

KRONIKA.

Wyrok. Po trzytygodniowych rozprawach sądu polubownego, obradującego w Gracu, spór stuletni Galicyi z Węgrami o posiadanie Morskiego Oka i gruntów przyległych został ostatecznie rozstrzygnięty: sporną przestrzeń ziemi na pograniczu wraz z Morskiem Okiem i Czarnym Stawem uznano za własność galicyjską, Węgrom przyznano tylko mały kawałek lasu, około 30 morgów, na stokach Żabiego, przy ujściu Potoku Rybiego do Białej Wody.

Wiadomości społeczne. P. Marya Szlenkerowa, w celu uczczenia pamięci męża swojego ś. p. Karola, złożyła komitetowi Muzeum fundusz, od którego procenty przeznaczone będą na zapomogi dla osób płci obojej, wyznania chrześciańskiego, Polaków, umiejących czytać i pisać po polsku, zajmujących się rzemiosłem lub drobnym przemysłem i pracujących w warsztach własnych lub obcych. Zapomogi te wydawane będą na narzędzia, warsztaty i materyały, niezbędne do prowadzenia rzemiosła lub drobnego przemysłu, jako też na środki wyuczenia się rzemiosła lub doskonalenia się w niem. Zapomogi powinny być zwrócone, a narzędzia, warsztaty i materyały wydawane będą w naturze. Osoby, ubiegające się o zapomogi i czyniące zadość powyższym warunkom, winny składać podania oraz spisy potrzebnych przedmiotów w kancelaryi Muzeum (Krakowskie Przedm. 66), w godzinach od 9 zrana do 2 po południu i od 4 do 7 wieczorem, codziennie, z wyjątkiem świąt, w ciągu miesiąca tj. do d. 11-go października r. b., poczem komitet wybierze kandydatów z pośród ubiegających się, rozdanie zaś zapomóg nastąpi d. 4 listopada r. b. Fundusz przeznaczony na ten cel w r. b. wynosi rb. [illegible]50

— Wskutek znacznego napływu kandydatek do służby rządowej przy telefonach, główny zarząd poczt i telegrafów polecił naczelnikom, aby pierwszeństwo dawali kobietom, posiadającym wyższe wykształcenie, nie zaś oczekującym z kolei na wakans.

— We Włoszech zorganizowano protest przeciw postępowaniu rządu pruskiego z polskiemi dziećmi w szkole. Objaw ten sympatyi dla prześladowanych podpisało 120,000 osób.

Szkoły i wychowanie. W gimnazyach warszawskich wykłady muzyki będą rozszerzone w r. b. Oprócz instrumentów dętych używane będą również smyczkowe.

— Do politechniki warszawskiej na kurs pierwszy wstąpiło 229 studentów: 96 na wydział budowlany, 75 na mechaniczny i 58 na chemiczny. Do instytutu inżenierów cywilnych w Petersburgu przyjęto 100 słuchaczów, do instytutu technologicznego — 262.

— *Praw. Wiest.* ogłasza Najwyżej zatwierdzone uchwały, na mocy których powinny być redagowane odpowiednie przepisy miejscowe dla studentów uniwersytetów i szkół wyższych. Przy każdym kursie ma być wybrany przez radę kurator z grona nauczycieli danego zakładu naukowego, któremu daje się prawo urządzania pogawędek wspólnych ze słuchaczami kursu. Kuratorzy tworzą komisyę pod przewodnictwem rektora lub dyrektora, dla wspólnego rozważenia spraw odpowiednich, dotyczących różnych kursów, fakultetów i oddziałów. Ogólne zebrania studentów całego zakładu naukowego, oraz zebrania studentów wydziałami nie są dozwolone. Zebrania kursowe zwołuje się z rozporządzenia rektora (lub dyrektora), albo za jego pozwoleniem z inicyatywy kuratora. Dozwalany jest wybór starostów kursowych z pośród studentów, oraz organizowanie kółek naukowych i literackich pod kierunkiem profesorów. Przepisy o karach, wymierzanych przez sąd dyscyplinarny na studentów zakładów naukowych ministeryum oświaty są następujące: 1) napomnienie; 2) nagana; 3) pozbawienie prawa uczestniczenia w zebraniach kursowych; 4) przeniesienie terminowe z grona studentów na wolnych słuchaczów; 5) moralne potępienie, niezależne od kar, wskazanych w punkcie trzecim lub czwartym; 6) uwolnienie z zakładu bez zabronienia wstąpienia niezwłocznego do innego zakładu, lub z zabronieniem wstąpienia przed terminem określonym; 7) wydalenie z zakładu bez terminu; 8) wydalenie z zakładu bez prawa wstąpienia do innych wyższych zakładów naukowych. Naczelnikowi zakładu nadano prawo nakładania kar następujących: 1) napomnienia; 2) nagany; 3) chwilowego zabronienie uczęszczania do zakładu; 4) polecenia wniesienia podania o uwolnienie.

W tymże organie ogłoszone zostały Najwyżej zatwierdzone d. 24 sierpnia (6 b. m.) tymczasowe przepisy, mające obowiązywać złożone z profesorów sądy dyscyplinarne w wyższych zakładach naukowych. Według przepisów tych, rada wybiera corocznie z liczby profesorów w każdym uniwersytecie po 5 sędziów, w wyższych zaś technicznych zakładach naukowych po trzech lub 5. Sędziowie podlegają zatwierdzeniu kuratora okręgu. Do kompetencyi sądów tych należą sprawy o zakłócenie porządku w gmachach zakładów, sprawy z powodu starć między studentami i profesorami lub też urzędnikami zakładu, oraz wynikłe wskutek występków o charakterze przeciwnym zasadom honoru i moralności. Sąd prowadzić będzie sprawy ustnie; wydane przez niego wyroki wpisywane będą do kontroli: sprawa toczyć się ma przy drzwiach zamkniętych. Złożone przez studentów oświadczenie o opuszczeniu zakładu naukowego nie uwalnia ich od odpowiedzialności przed sądem dyscyplinarnym.

— Rektor uniwersytetu warszawskiego ogłasza: „W rozporządzeniu komitetu funduszu stypendyalnego ś. p. Włodzmierza Młockiego, na rok akademicki 1902—3 jest dla studentów Cesarskiego uniwersytetu warszawskiego piętnaście stypendyów imienia zapisodawcy po 300 rb. Stypendya te mogą być przyznane albo stypendystom zeszłorocznym, o ile będą uznani za godnych ich na zasadzie swojego prowadzenia i postępu w naukach, albo też nowowybranym. Z prawa do stypendyum Młockiego, zgodnie z przepisami o funduszu jego imienia, korzystają niezamożni studenci katolicy, pochodzenia miejscowego, uczęszczający na wydział historyczno-filologiczny i prawny oraz odznaczający się prowadzeniem nienagannem i postępem w naukach. Do połowy tych stypendyów mają pierwszeństwo krewni zapisodawcy w linii męzkiej i żeńskiej, i krewni Leopolda i Eleonory z Łąckich. Studenci, którzy czynią zadość warunkom dla otrzymania wspomnianych stypendyów i pragną z nich korzystać, winni podać prośbę do rektora uniwersytetu i złożyć odpowiednie świadectwa ubóstwa, przyczem od krewnych Młockich i Łąckich wymagane są dokumenty, dowodzące ich pokrewieństwa ze wspomnianemi osobami."

Z Poznańskiego. W sali Bazaru w Poznaniu odbył się obchód jubileuszu Maryi Konopnickiej. Zebranie było prywatne, ze względu na ograniczenia policyjne.

— Władze pruskie rozwiązały Towarzystwo młodzieży polsko-katolickiej w Pastuchowie pod Gnieznem, z powodu rzekomego zajmowania się sprawami politycznemi.

— Wydany został następujący okólnik do policyi w W. Ks. Poznańskiem. „Policya obwodu X bardzo ostro występowała w ostatnim czasie przeciwko używanej przez Polaków pisowni dawniej niemieckich nazwisk swoich. Ponieważ sądy rozmaicie rozstrzygały, a bardzo często na korzyść oskarżonych Polaków, dlatego, ze względu na to, że rezultat dla Niemców wielkiej korzyści nie przynosi, a Polaków drażni, pol-

ska zaś prasa dla jątrzenia ludności każdy taki fakt wyzyskuje na swoją korzyść, władza policyjna obwodu X ma się w swej gorliwości pohamować i tylko tam wkraczać, gdzie na pewno wyrok korzystny osiągnięty być może."

— *Dziennik Śląski* donosi, że radni miasta Mysłowic odrzucili trzykrotnie wniosek magistratu, domagający się 300 marek na popieranie teatru germanizatorskiego. Po raz czwarty jednak przedstawiony wniosek uchwalono przy nagance dr. Stellego, który straszył radnych niebezpiecznemi następstwami odmowy.

Zdrowie publiczne. Najwyżej zatwierdzona komisya do walki z dżumą ogłasza, co następuje: W Odesie w ciągu 29, 30 i 31 sierpnia znowu ujawniono 6 zasłabnięć podejrzanych pod względem dżumy. Ogółem od 28 maja było 24 takich wypadków, z tej liczby 6 ze śmiertelnym wynikiem. Ze względu na potrzebę szczególnej ostrożności przedsięwzięto środki następujące: rozpoczęły swą działalność komisye sanitarno-wykonawcze w powiatach, przylegający do wybrzeża morza Czarnego w guberniach: Chersońskiej, Besarabskiej, Taurydzkiej, Jekaterynosławskiej, w okręgu wojska dońskiego, w okręgach miejskich: Sewastopolskim, Kerczjenikalskim i Mikołajewskim, oraz wzdłuż całej linii żelaznej między stacyami Odesa a Razdzielnaja. Jednocześnie wzmocniony został nadzór lekarski w miejscowościach zamieszkanych w gub. Chersońskiej, położonych w pobliżu zarządu miejskiego odeskiego, oraz w tych, które mają z Odesą stałe stosunki handlowe. Ustanowiono również surowy nadzór nad stanem sanitarnym odpływających z Odesy do portów rosyjskich statków osobowo-towarowych, oględziny lekarskie pasażerów i załogi okrętowej, dalej polecono właścicielom okrętów pasażerskich komunikacyi morskiej w obrębie granic państwa, utrzymujących stosunki z Odesą, aby mieli na statkach lekarzy, zatwierdzanych na tem stanowisku przez gubernatorów lub naczelników okręgów miejskich, stosownie do tego, w jakim porcie wciągnięty jest okręt na stałą listę; wreszcie zorganizowano we wszystkich portach wybrzeża czarnomorskiego rewizyę lekarską okrętów, przybywających z Odesy.

Literatura i prasa. *Szkoła* galicyjska ogłosiła konkurs na rozprawę o działalności pedagogicznej Adolfa Dygasińskiego. Sąd o wartości prac konkursowych wydadzą czytelnicy pisma. Nagrodą dla pracy najlepszej ma być honoraryum w wysokości 15 halerzy za wiersz drukowany.

Wiadomości naukowe. Komitet zarządzający Kasą pomocy dla osób pracujących na polu naukowem, imienia J. Mianowskiego, zawiadamia, że z fundacyi Stanisława Rotwanda i Hipolita Wawelberga, zatwierdzonej przez władzę rządową, przyznana zostanie w r. 1893 nagroda pieniężna imienia profesora Adolfa Pawińskiego w wysokości 600 rb. za najlepszą z ogłoszonych drukiem w języku polskim, w ciągu trzech ostatnich lat, tj. 1900, 1901 i 1902, pracę z zakresu historyi polskiej. Z dzieł równej wartości naukowej pierwszeństwo do nagrody służyć będzie dziełu, mającemu za przedmiot opracowanie materyałów, zebranych przez prof. Pawińskiego. Stosownie do ustawy Kasy i do zastrzeżeń władzy, przyjętych przez ofiarodawców, nagroda ta może być udzielona jedynie poddanemu rosyjskiemu, o ile nie przebywa za granicą bez pozwolenia rządu, za dzieło przez cenzurę dozwolone, choćby wydane za granicą. Jakkolwiek komitet, zarządzający Kasą, będzie usiłował zebrać dla oceny kwalifikujące się do nagrody prace, wydane w latach wymienionych, dla uniknienia jednak przeoczeń, prosi o składanie prac w biurze komitetu (Niecała nr. 7) lub na ręce jednego z członków komitetu.

Sprawy ekonomiczne. Dnia 2 czerwca r. b. wydano nowe przepisy, rozpatrzone przez radę państwa, o budowaniu kanałów i innych urządzeń wodospadowych. Wprowadzono prawo przymusowe korzystania terminowo lub bezterminowo z gruntów obcych dla odprowadzenia wód, jako z serwitutu prawnego, jeśli korzystanie to jest niezbędne dla wykonawia robót melioracyjnych lub innych przedsiebiorstw do osuszania gruntów. Ponieważ przepisy te obowiązują tylko w Cesarstwie, przeto niektóre z towarzystw rolniczych w Królestwie Polskiem wystąpiły z podaniem do ministeryum rolnictwa i dóbr państwa o rozszerzenie na kraj nasz prawa, zezwalającego na organizowanie przy towarzystwach rolniczych związków wodnych, któreby przy pomocy rządu lub swoim kosztem zajmowały się robotami melioracyjnemi, oraz o stosowanie wydanych powyżej przepisów o przymusowem odprowadzaniu wód przez grunty obce.

— D. 12 b. m. przy licznym zjeździe przybyszów i uczestnictwie ludności miejscowej otworzono w Wilnie wystawę przemysłowo-rolniczą.

— Departament leśny zamierza urządzić kilkanaście stacyj doświadczalnych w celu przeciwdziałania owadom, niszczącym drzewa. W kraju naszym będą utworzone dwie takie stacye.

— W Wiedniu otworzono wystawę rybacką.

Katastrofy. W pow. Jędrzejowskim, gub. Kieleckiej, zgorzało miasteczko Wodzisław, zamieszkane przez ludność przeważnie ubogą.

— Wybuch gazu zniszczył kościół św. Łucyi w Neapolu. Dach, uniesiony siłą wybuchu na kilkadziesiąt stóp, spadając, zabił kilka osób na miejscu a kilkanaście poranił.

Odpowiedzi Redakcyi.

Stałemu prenumeratorowi ze Złot-j. Wyraz „proletaryat" oznacza dosłownie klasę ludzi ubogich, niemających stałego zajęcia.

Stałemu prenumeratorowi. Takich pism peryodycznych, tygodniowych, o jakie Pan pyta, w Anglii niema wcale, są miesięczniki tylko i kwartalniki. Pisma codzienne zajmują się głównie polityką i to przeważnie wewnętrznemi jej sprawami, dla cudzoziemca, nieobeznanego z życiem kraju, mało zrozumiałemi. Dla nauki języka najlepiej czytać książki, których niezły zapas znajdzie Pan w czytelni na Mazowieckiej pod nr. 11.

Redaktor i Wydawca A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 5 Сентября 1902 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.